Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 20. Lipca 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 25.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA K.

Napisał
Litwos.

Za czasu mego pobytu w Kalifornii, wybrałem się pewnego razu z moim zacnym i dzielnym przyjacielem, kapitanem R., w odwiedziny do naszego rodaka J., mieszkającego w odludnych górach Santa Lucia. Ponieważ nie zastaliśmy go w domu, przesiedzieliśmy dni pięć w głuchym wąwozie, w towarzystwie starego sługi Indjanina, który, pod niebytność pana, pilnował pszczół i kóz angorskich. Stosując się do miejscowych zwyczajów, spędzałem znojne dnie letnie, śpiąc przez większą część czasu, nocami zaś, zasiadłszy przy ognisku z suchego „czamizalu“, słuchałem opowiadań kapitana, jego nadzwyczajnych przygód i wypadków, jakie tylko na pustyniach amerykańskich mogą mieć miejsce.

Chwile te uchodziły mi bardzo uroczo. Noce były prawdziwie kalifornijskie: ciche, ciepłe, gwiaździste; ognisko buzowało się raźnie, a w jego blaskach widziałem olbrzymią, ale piękną i szlachetną postać starego wojownika — pioniera, który, podnosząc oczy ku gwiazdom, szukał pamięcią ubiegłych zdarzeń, drogich imion i drogich twarzy, powłóczących nawet we wspomnieniu czoło jego smutkiem łagodnym. Jedno z tych odpowiadań podaję tak poprostu jak je słyszałem, sądząc, że i czytelnik wysłucha go z równą mojej ciekawością.

I.

Przybywszy do Ameryki we wrześniu roku 1849 — mówił kapitan — znalazłem się w Nowym-Orleanie, który wówczas był jeszcze miastem nawpół francuskim, ztamtąd zaś udałem się w górę Missisipi, do jednej wielkiej plantacji cukrowej, gdzie znalazłem pracę i dobre wynagrodzenie. Ale, że byłem naonczas młody i przedsiębiorczy, przykrzyło mi się siedzenie na miejscu i piśmienna robota — porzuciłem ją więc wkrótce, a natomiast rozpocząłem życie leśne. Mnie i moim towarzyszom upłynęło w ten sposób kilka lat wśród jezior luizjańskich, krokodylów, wężów i moskitów. Utrzymywaliśmy się z polowania i rybołostwa, a od czasu do czasu spławialiśmy wielkie partje drzewa po rzece, aż do Orleanu, gdzie nam płacono za nie niezłe pieniądze. Wyprawy nasze sięgały często kroć stron bardzo odległych. Zapuszczaliśmy się aż do krwawego Arkanzasu, (Bloody-Arcansas) który, dziś jeszcze mało zamieszkały, wtedy był zupełnie prawie pusty. Takie życie, pełne trudów i niebezpieczeństw, krwawych zajść z Piratami na Missisipi i z Indjanami, których pełno jeszcze było w Luizjanie, w Arkanzasie i Tenessee, zahartowało moje niezwyczajne z natury siły i zdrowie, a przytem dało mi doświadczenie stepowe, tak, że w tej wielkiej księdze umiałem czytać niegorzej od każdego czerwonego wojownika. Dzięki temu doświadczeniu, gdy po odkryciu złota w Kalifornji, wielkie partje emigrantów prawie codziennie opuszczały Boston, New-York, Filadelfją i inne miasta wschodnie, jedna z nich wezwała mnie na swego dowódcę, czyli, jak u nas mówią, kapitana. Zgodziłem się chętnie, bo cuda wtedy opowiadano o Kalifornii; oddawna więc nosiłem się z zamiarem puszczenia się na daleki Zachód; niemniej jednak nie ukrywałem sobie niebezpieczeństw tego przedsięwzięcia. Dziś, przestrzeń z New-Yorku do San-Francisco przebywa się w tydzień koleją, a prawdziwa pustynia zaczyna się dopiero od Omaha; wtedy było zupełnie co innego. Wszystkie te miasta i miasteczka, których teraz między New-Yorkiem a Chicago jak maku, nie istniały jeszcze, a i samo Chicago wyrosłe później, jak grzyb po deszczu, było tylko lichą i nieznaną osadą rybacką, której nie znalazłbyś na żadnej mapie. Trzeba więc było iść z wozami, ludźmi i mułami przez kraje zupełnie dzikie, a zamieszkane przez groźne plemiona Indjan: Kruków, Czarnonogich, Pawnisów, Siuksów i Arikarów, przed którymi ukryć się w większej liczbie ludzi było prawie niepodobieństwem, albowiem ruchliwe, jak piasek, te pokolenia nie mają stałych siedlisk, ale, jako myśliwskie, krążą po całej przestrzeni stepów za stadami bawołów i antylop. Groziły nam więc niemałe trudy; ale kto się wybiera na daleki Zachód, musi być na nie przygotowany, jak również i na to, że nieraz głowy nadstawić przyjdzie. Więcej też, niż wszystkiego, obawiałem się odpowiedzialności, jaką na siebie brałem; ponieważ jednak rzecz już była ułożona, niebyło co innego do roboty, jak zająć się przygotowaniami do drogi. Trwały one przeszło dwa miesiące, bo trzeba było sprowadzać wozy aż z Pensylwanii, z Pittsburga, kupować muły, konie, broń i czynić znaczne zapasy żywności. Ku końcowi jednak zimy wszystko było gotowe. Chciałem wyruszyć tak, abyśmy wielkie stepy, leżące między Missisipi a górami Skalistemi, przebyli wiosną, wiedziałem bowiem, że latem, skutkiem upałów panujących na tych odkrytych przestrzeniach mnóstwo ludzi zapada na różne choroby. Z tego samego powodu postanowiłem nie prowadzić taboru południową drogą na St-Luis, ale na Jowę, Nebraskę i północne Kolorado. Była to droga niebezpieczniejsza ze względu na Indjan, ale bezwątpienia zdrowsza. Zamiar ten wzbudził z początku opór między ludźmi, należącymi do taboru, ale, gdym oświadczył, aby, jeśli nie chcą czynić wedle mej woli, szukali innego kapitana, po krótkim namyśle zgodzili się — i z pierwszem tchnieniem wiosny ruszyliśmy w drogę. Zaczęły się zaraz dla mnie dni dość trudne, zwłaszcza nim ludzie oswoili się ze mną i z warunkami podróży. Osoba ma wzbudzała wprawdzie ufność, bo awanturnicze pochody moje do Arkanzas zjednały mi pewną sławę między ruchliwą ludnością nadgraniczną; a imię „Big Ralf“, („Wielki Ralf“) pod którem mnie znano na stepach, obiło się już nieraz o uszy większej części moich ludzi. Ale w ogóle „kapitan,“ czyli dowódca, bywał z natury rzeczy często w położeniu, bardzo względem emigran-

tów drażliwém. Do mnie należało wybierać obozowiska na noc, czuwać nad pochodem w dzień, mieć oko na cały tabór, ciągnący się czasem milę po stepie, wyznaczać straże na postojach i wydawać pozwolenie na odpoczynek oddziałom, udającym się kolejno na wozy. Amerykanie mają wprawdzie w sobie ducha organizacji, posuniętego do wysokiego stopnia, ale w miarę trudów podróży, energja ludzka słabnie, zniechęcenie ogarnia najwytrwalszych, i wówczas nikomu niechce się dniem harcować konno, nocą iść na straże, a każdy natomiast radby wymknąć się od przypadającej na niego kolei i leżeć po całych dniach na wozie. Przytem, w stosunkach z Yankesami, *kapitan* musi umieć pogodzić karność z pewną poufałością koleżeńską, co nie jest rzeczą łatwą. Bywało więc tak, że w czasie pochodu i w godzinach nocnych postojów byłem zupełnym panem woli każdego z moich towarzyszów, ale w czasie dziennych wypoczynków po farmach i osadach, które spotykaliśmy z początku na drodze, kończyła się i moja rola rozkazodawcy. Wówczas każdy był sobie panem, i nieraz musiałem zwalczać opór zuchwałych awanturników; ale, gdy wobec licznych „ringów" okazało się po kilkakroć, że moja mazowiecka pięść silniejszą jest od amerykańskich, zaraz urosło moje znaczenie, i później nie miałem nigdy żadnych zajść osobistych. Zresztą znałem już na wylot charakter amerykański, wiedziałem więc, jak sobie radzić, a przytem wytrwania i zachęty dodawała mi pewna para niebieskich oczu, spoglądająca na mnie z pod płóciennego dachu wozu ze szczególnem zajęciem. Oczy te, patrząc z pod czoła, ocienionego bujnym złotym włosem, należały do młodej dziewczyny imieniem Lilian Morris rodem z Massachusset z Bostonu. Była to istota delikatna, wiotka, o rysach drobnych i twarzy smutnej, pomimo iż prawie dziecinnej. Smutek ten w tak młodej dziewczynie uderzył mnie zaraz z początku podróży, ale wkrótce zajęcia, związane z rolą *kapitana*, zwróciły mój umysł i uwagę gdzieindziej. Przez pierwsze tygodnie, prócz zwykłych codziennych: „good morning!" zamieniliśmy zaledwie parę słów innych. Litując się jednak nad młodością i osamotnieniem Lilian — niebyło bowiem nikogo z jej krewnych w całej karawanie — oddałem biednej dziewczynie kilka małych przysług. Osłaniać jej moją powagą dowódcy i pięścią, od natarczywości młodych ludzi, podróżujących razem nie miałem najmniejszej potrzeby, albowiem pomiędzy Amerykanami najmłodsza kobieta może być pewna, jeśli nie nadskakującej grzeczności, jaką odznaczają się Francuzi, to przynajmniej zupełnego bezpieczeństwa. Ze względu jednak na delikatne zdrowie Lilian umieściłem ją w najwygodniejszym ze wszystkich wozie, prowadzonym przez wielce doświadczonego woźnicę Smitha — sam usłałem jej siedzenie, na którem w nocy mogła sypiać wygodnie, wreszcie oddałem na jej użytek ciepłą skórę bawolą, których kilka miałem w zapasie. Lubo przysługi te mało były znaczące, Lilian zdawała się czuć za nie żywą wdzięczność i nie pomijała żadnej sposobności, przy której mogła mi ją okazać. Było to stworzenie, widocznie bardzo łagodne i nieśmiałe. Dwie kobiety: ciotka Grosvenore i ciotka Attkins, które dzieliły z nią wóz, pokochały ją wkrótce niezmiernie za słodycz jej charakteru—przezwisko zaś: „Litte Bird" (mały ptaszek), nadane jej przez nie, stało się wkrótce mianem, pod którem znano ją w całym obozie. Z tem wszystkiem, między mną a Małym Ptaszkiem nie było najmniejszego zbliżenia, pókim nie dostrzegł, że błękitne i prawie anielskie oczy tego dziewczątka zwracają się za mną ze szczególniejszą jakąś sympatją i uporczywem zajęciem.

Można to sobie było wytłumaczyć tem, że między wszystkimi ludźmi, należącymi do taboru, ja jeden miałem trochę ogłady towarzyskiej — Lilian więc, po której także znać było staranniejsze wychowanie, widziała we mnie kogoś bliższego siebie, niż reszta otoczenia. Ale wtedy ja tłómaczyłem to sobie trochę inaczej — i zajęcie się jej połechtało moją próżność, — próżność zaś sprawiła, żem sam zaczął być na Lilian uważniejszym i częściej jej w oczy zaglądać. Wkrótce potem sam już sobie nie umiałem zdać sprawy, jakim sposobem to się stało, że dotąd nie zwróciłem żadnej prawie uwagi na tak wyborną istotę, która każdego posiadającego serce człowieka odrazu tkliwemi mogła natchnąć uczuciami. Odtąd też lubiłem kręcić się na koniu koło jej wozu W czasie upału dziennego, który pomimo wczesnej wiosennej pory mocno nam w godzinach południowych dokuczał, gdy muły wlokły się leniwo, a karawana rozwłóczyła się tak po stepie, że, stojąc przy pierwszym wozie, ledwie można było dostrzedz ostatni, przelatywałem często z końca w koniec, zajeżdżając bez potrzeby konie, by tylko w przelocie zobaczyć tę jasną główkę i te oczy, prawie mi już z myśli nieschodzące. Z początku wyobraźnia moja więcej była zajęta, niż serce, jednak myśl, że wśród tych obcych ludzi nie jestem zupełnie obcym, ale mam jedną maleńką duszę sympatyczną, zajmującą się mną trochę — lubej dodała mi otuchy. Może to już i nie pochodziło z próżności, lecz z tej potrzeby, którą na ziemi człowiek czuje, aby nie rozpraszać myśli i serca na tak nieokreślone i ogólne przedmioty, jakiemi są lasy tylko i stepy — ale, aby te skupić siły na jedną żywą kochaną istotę i zamiast gubić się w jakichś oddaleniach i nieskończonościach, odnaleźć samego siebie w sercu bliskiem.

Uczułem się tedy mniej samotny, i cała podróż nowych, nieznanych dotąd, nabrała dla mnie powabów. Dawniej, gdy karawana rozciągała się tak, jako wspomniałem, po stepie, iż ostatnie zaprzęgi nikły z oczu, widziałem w tem tylko brak ostrożności i nieporządek, za który gniewałem się mocno. Teraz, gdym zatrzymał się na jakiej wyniosłości, widok tych wozów białych i pasiastych, oświetlonych słońcem i nurtujących nakształt okrętów w morzu traw, widok konnych i zbrojnych ludzi, rozrzuconych w malowniczym nieładzie obok pociągów, napełniał duszę moją zachwytem i błogością. I nie wiem, zkąd mi się brały takie porównania, ale zdawało mi się, że to jakiś tabór biblijny, który ja, jakby patryarcha, wiodę do Ziemi Obiecanej. Dzwonki na uprzężach mułów i śpiewne „get up!" woźniców wtórowały wtedy, jakby muzyka myślom moim, pobudzanym przez serce i przyrodzenie.

Jednakże z Lilian od owej rozmowy oczu nie przechodziliśmy prawie do innej, bo krępowała mnie obecność kobiet, razem z nią jadących. Przytem, od czasu, jakem spostrzegł, że tam już jest coś między nami, czego sam jeszcze nie umiałem nazwać, a przecie czułem, że było, ogarnęła mnie jakaś dziwna nieśmiałość. Podwoiłem jednak moją troskliwość o kobiety i często zaglądałem do wozu, pytając o zdrowie ciotkę Attkins i ciotkę Grosveore, aby tym sposobem usprawiedliwić i zrównoważyć starania, jakiemi otoczyłem Lilian. Ona jednak rozumiała doskonale tę moję politykę, i porozumienie to stanowiło jakby naszą tajemnicę, ukrytą dla reszty towarzyszów.

Wkrótce jednak spojrzenia, przelotna zamiana słów i tkliwe starania już mi nie mogły wystarczyć. Ta dziewczyna z jasnemi włosami i słodkiem spojrzeniem ciągnęła mnie ku sobie z nieprzepartą jakąś siłą. Począłem o niej myśleć po całych dniach, a nawet nocą, gdy, zmęczony objazdem straży i ochrypły od nawoływań: „All's right?!" szedłem wreszcie na wóz i owinąwszy się skórą bawolą, zamykałem oczy, aby zasnąć — zdawało mi się, że owe komary i moskity, brzęcząc koło mnie, śpiewają mi bez ustanku do ucha imię: Lilian! Lilian! Lilian! Postać jej stawała przy mnie w snach moich; po przebudzeniu, pierwsza myśl leciała do niej jakby jaka jaskółka; a jednak, dziwna rzecz! nie spostrzegłem się odrazu, że ten luby powab, jakiego nabrało dla mnie wszystko — i to malowanie w duszy przedmiotów złotemi kolorami, i te myśli, płynące za jej wozem — to nie przyjaźń ani przychylność dla sieroty, ale mocniejsze daleko uczucie, od którego nikt się nie obroni, gdy na niego kolej nadejdzie.

Byłbym się może wcześniej spostrzegł, gdyby nie to, że słodycz charakteru Lilian ujmowała sobie wszystkich; myślałem więc, że zostaję pod urokiem tego dziewczęcia niewięcej od innych. Wszyscy kochali ją jak dziecko własne, i dowody tego codziennie miałem przed oczyma. Towarzyszki jej były to kobiety proste i dość do swarów pochobne, a jednak nieraz widziałem ciotkę Attkins, największego w świecie Heroda, jak czesząc rankami włosy Lilian, całowała je z serdecznością matki, podczas gdy Missis Grosvenore tuliła w rękach dłonie dziewczynki, które były zziębły wśród nocy. Mężczyzni otaczali ją również troskliwością i staraniami. Był w karawanie niejaki Henry Simpson, młody awanturnik z Kanzas, nieustraszony strzelec i poczciwy w gruncie chłopak, ale tak ufny w siebie, zuchwały gburowaty, że w pierwszym zaraz miesiącu musiałem go podwakroć obić, aby go przekonać, że jest ktoś silniejszy od niego w pięści, a starszy znaczeniem w obozie. Otóż trzeba było widzieć tego samego Henry, rozmawiającego z Lilian: on, który nicby sobie nie robił z samego prezydenta Unii, wobec niej tracił całą pewność i śmiałość, odkrywał głowę i powtarzając co chwila: „I beg your pardon, Miss Morris!" miał zupełnie minę brytana na łańcuchu, Ale widać było, że ow brytan gotów jest słuchać każdego skinienia tej małej pół dziecinnej rączki. Na postojach starał się też być zawsze przy Lilian, aby mu łatwiej było oddawać jej rozmaite drobne przysługi. Rozpalał ognisko, wybierał jej miejsce, zabezpieczone od dymu, usławszy je pierwej mchem i własnemi derami, wybierał dla niej najlepsze kawałki zwierzyny — czynił zaś to wszystko z nieśmiałą jakąś troskliwością, której się po nim nie spodziewałem, a która budziła jednak we mnie pewną niechęć, bardzo do zazdrości podobną.

Ale mogłem się tylko gniewać, nic więcej. Henry, jeśli nie na niego przypadała kolej straży, mógł czynić ze swoim czasem, co mu się podobało, zatem być blisko Lilian; tymczasem moja kolej nie kończyła się nigdy. W drodze, wozy ciągnęły jeden za drugim często bardzo od siebie

daleko; zato, gdy weszliśmy już w kraje puste, na południowe odpoczynki, stawiałem je wedle obyczaju stepowego w jednej poprzecznej linii, zwartej tak, iż między kołami zaledwie człowiek mógł się przecisnąć. Trudno przewidzieć, ile ponosiłem trudów i pracy, nim taka linia, łatwa do obrony, została uformowana. Muły, z natury dzikie i nieposłuszne zwierzęta, zamiast stawać w szeregu, albo upierały się na miejscu, albo nie chciały zejść na bok z utartej kolei, gryząc się przytem, kwicząc i wierzgając; wozy, skręcane nagłym ruchem, przewracały się często, a podnoszenie tych prawdziwych domów z drzewa i płótna niemało zabierało czasu; kwik mułów, klątwy woźniców, brzęk dzwonków i szczekania psów, wlokących się za nami, sprawiały piekielny hałas. Gdym jako tako przyprowadził wszystko do ładu, musiałem jeszcze pilnować wyprzęży zwierząt i kolejników, mających pognać je na pastwisko, a następnie do rzeki. A tymczasem ludzie, którzy w czasie pochodu pogrążyli się byli w step dla polowania, ściągali ze wszystkich stron ze zwierzyną; ogniska były poobsiadane, ja zaś zaledwie znajdowałem dosyć czasu, aby pożywić się i odetchnąć.

Prawie podwójną miałem robotę, gdy po skończonym wypoczynku ruszyliśmy naprzód, bo zaprzęganie mułów więcej jeszcze za sobą rozhoworów i wrzawy niż wyprzęganie, pociągało. Przytem woźnice starali się zawsze jeden przed drugim wyruszyć, aby potem oszczędzić sobie zjeżdżania w bok po złym nieraz gruncie. Powstawały ztąd zatargi, kłótnie, przekleństwa i przykre zwłoki w podróży. Nad wszystkiem tem musiałem czuwać, a w czasie pochodu jechać na przodzie zaraz za przewodnikami, by i okolicę przepatrywać, i wcześnie miejsca ochronne, obfitujące w wodę i wogóle przygodne do noclegu wybierać. Często przeklinałem moje obowiązki kapitana, lubo z drugiej strony napełniała mnie dumą myśl, że na całej tej pustyni bez końca pierwszym jestem wobec pustyni samej, wobec ludzi, wobec Lilian — i że los tych wszystkich istot, błądzących z wozami po stepie, w mojem jest ręku. (C. d. n.)

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Ciąg dalszy).

IV.

Od melancholijnego Wacława, przechodzimy teraz do innego bajronicznego bohatera, w którego wcieliła się energja i demoniczność bajronizmu. Jestto Konrad Wallenrod. Na tym utworze mam sposobność okazać to, o czem na początku już wspomniałem, jak się rozmaite prądy, nurtujące w naszej poezji tegowiecznej, zlewają nieraz i płyną jednem korytem. W Konradzie Wallenrodzie prąd bajroniczny spłynął z prądem patrjotycznym. Duch całego poematu, pobudki, które popychają Konrada do działania, płyną z patrjotycznego uczucia; postać bohatera i jego sposób pomszczenia krzywd ojczyzny wzięte z bajronizmu.

Wiadomą jest powszechnie geneza Konrada Wallenroda. Młody poeta porwany z ukochanego Wilna, z grona rówieśników i kolegów, których już był chlubą i nadzieją i wywieziony do Rossji, w świat obcy i wrogi, gdzie jeśli mu okazywano czasem pewne względy i przebaczano, że jest Polakiem, to tylko dzięki świtającej już nad głową jego aureoli genjuszu poetyckiego; młody poeta musiał na każdym kroku hamować swe uczucia i myśli patrjotyczne, żywiej niż przedtem rozbudzone wypadkami wileńskimi i szczelnie ukrywać zbierającą się na dnie serca nienawiść dla wroga ojczyzny, o którego brutalnej potędze przekonał się własnemi oczyma. W wierszu: „Do przyjaciół Moskali“ sam on powiada o sobie:

> „Pókim był w okuciach,
> Pełzając milczkiem, jak wąż ludziłem despotę.“

Ta zamknięta w sobie, ściśnięta siła uczucia patrjotycznego i nienawiści dla wroga szukała dla siebie wyrazu w poezji i znalazła w Konradzie Wallenrodzie. Poeta, żeby się nie zdradzić, przeniósł swoje uczucia na odległe tło historyczne, wcielił w osoby, nie stojące na indeksie cenzury. Jednocześnie bajronizm, którego wpływ coraz szerzej zalewał wówczas Europę, podyktował mu charakter bohatera.

Na czemże polega bajroniczność Wallenroda? Oto na tem, że poświęciwszy się za ojczyznę, Wallenrod w samem poświęceniu nie znajduje dostatecznej osłody, i czuje ciągłą gorycz życia. Winą tu naprzód jest wybrany przez niego rodzaj poświęcenia, owa długa, powolna, milczkiem przez wiele lat pełznąca do celu swego zdrada. Cel jest szlachetny i piękny, wyzwolenie ojczyzny z pod jarzma wroga, a przynajmniej zachwianie jego potęgi, ale droga do celu zła i brzydka, która zmuszając Wallenroda do ciągłego kłamstwa, wywołuje w nim rozstrój wewnętrzny, i zapędza go nawet do szukania pociechy w gorącym napoju.

> I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
> Wtenczas twarz jego bladą i surową
> Jakiś rumieniec chorowity krasił;
> I wielkie niegdyś błękitne źrenice,
> Które czas nieco skaził i przygasił,
> Ciskały dawnych ogniów błyskawice:
> Z piersi żałośne westchnienie ucieka
> I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
> Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją . . .
> . . . .
> Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie
> Z lutni weselszych tonów nie dobędzie,
> I lica jego niewinnych uśmiechów
> Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
> Wszystkie uderza struny po kolei,
> Prócz jednej struny — prócz struny wesela.
> Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
> Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Tak, Konrad poświęciwszy wszystko dla ojczyzny, nie zapomniał, że był niegdyś szczęśliwym, że tam wśrod nadniemeńskich lasów, co mu tak mile szumiały, miał niegdyś ognisko rodzinne, a w tem ognisku kochającą żonę. Widmo szczęścia osobistego staje nieraz przed nim, jakby na to, aby mu przypomnieć, co utracił, a czego nigdy nie odzyska. Nawet po ostatecznej katastrofie, po dokonaniu zdrady, wyciąga jeszcze ręce do tego widma, jeszcze chce skłonić Aldonę, aby z nim uszła w głuche cienie białowieskich lasów

> Kędy nie słychać obcej broni szczęku,
> Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
> Ni zwyciężonych braci naszych jęku...
> Tam w środku cichej, pasterskiej zagrody,
> Na twojem ręku, u twojego łona,
> Zapomnę, że są na świecie narody,
> Że jest świat jakiś . . .

Ale osobiste szczęście nie może się pogodzić z zawodem, który sobie obrał Wallenrod i to druga przyczyna jego bajronicznego usposobienia.

Jeżeli teraz porównamy Wallenroda z pokrewnymi bohaterami samegóż Bajrona, naprzykład z Korsarzem z Giaurem, to stanowcza wyższość okaże się po stronie naszego poety. Szczególnie porównanie z Korsarzem przedstawia wiele interesu, z niego to bowiem, jak się zdaje, pożyczył niektórych barw Mickiewicz dla odmalowania charakteru swego Wallenroda. Otóż w Korsarzu, w Giaurze jedynem dodatniem uczuciem jest miłość kobiety; ona tylko ich uszlachetnia, bez niej byliby to zwyczajni rozbójnicy, zadziwiający tylko dziką, spiżową energią swoją. Wallenroda serce nierównie głębsze, zdolne do stokroć wyższych uczuć. Kocha on Aldonę równie głęboko jak Giaur swoją Leilę, jak korsarz swoją Medorę, ale ta miłość nie pochłania jego całego serca, nie zamyka go przed wyższem, wznioślejszem uczuciem, jakiem jest miłość rodzinnego kraju. I owszem, dla tej ostatniej miłości gotów poświęcić i miłość ku Aldonie i wraz z nią szczęście swoje. Wie on dobrze, jaka przyszłość go czeka, przeczuwa wszystkie cierpienia nowego życia, kiedy mówi żegnając się do żony:

> Jesteś wdowa, jesteś wdową po wielkim człowieku,
> Który dla dobra ojczyzny, wyrzekł się nawet i ciebie!
> Bywaj zdrowa, zapomnij, zapłacz niekiedy nademną:
> Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
> Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie.
> Zdradzać, mordować a potem ginąć śmiercią haniebną.

A przecież nie cofa się przed strasznem zadaniem, które sobie obrał. Większej do tego zaiste potrzeba energji, niż do wykonania zuchwałego napadu korsarskiego, gdzie całe bohaterstwo i niebezpieczeństwo w jednej skupia się chwili. Wreszcie i tę ma wyższość Wallenrod nad Korsarzem, że walcząc ze światem, który go otacza, wie za co walczy, podczas gdy Korsarz jest błędnym rycerzem, który za winy kilku ludzi i to winy, nawet jednem słowem nienazwane w poemacie, chęć się mścić nad wszystkimi, który, czując się występnym, w dumie swojej nie przypuszcza jednak, aby ktokolwiek mógł być lepszym od niego, dla którego wreszcie najwyższem zadaniem życia jest budzić przestrach i nienawiść w ludziach. Korsarz pomimo całej swej posągowej energji jest przecież w swoim rodzaju Donkiszotem, podczas gdy jego imiennik polski pomimo skrzywionego może zdradą patrjotyzmu nie przestaje być bohaterem narodowym. W dwóch tych postaciach doskonale się odbiły wizerunki ich twórców; każdy z nich bowiem wlał w swego bohatera to, co we własnem sercu jego nurtowało. Możemy się cieszyć, że postać naszego poety czyściej i szlachetniej w swoim tworze się odbija.

W poezji Mickiewicza bajronizm zdaje się być przywiązanym do imienia Konrada, oprócz bowiem Wallenroda, mamy jeszcze drugiego Konrada, z trzeciej części Dziadów, którego postać migoce odbłyskami bajronizmu. Ten drugi Konrad ma coś w sobie z Manfreda, ale tak samo nie jest jego kopją, jak Wallenrod nie jest kopją Korsarza. To coś wspólnego, to jest potęga indywidualizmu, rozpierająca piersi jednego i drugiego, i korona tej potęgi, duma, którą śmie cały świat nadziemski wyzywać do walki. Równą jest także w obu siła cierpień, rosnąca w geometrycznym stosunku do siły indywidua-

*

lizmu, ale po za tą wspólnością, jakież głębokie różnice dzielą dwie te postaci. Naprzód z różnych źródeł płyną cierpienia tych dwóch ludzi: Manfred, to duch z pretensjami do bóstwa, zamknięty w ślimaczej skorupie, i puszczony na wody tego świata, aby płynął bez celu i wiecznie krwawił i pożerał siebie samego. Nic on nie kocha na świecie, wszystko w nim wywołuje przesyt i pogardę i pierś jego cierpi na straszną próżnię, której nic, nic zapełnić nie zdoła. Była jedna tylko istota kobieca, którą kochał Manfred, a przynajmniej zdawało mu się, że ją kochał, i tej istocie, tej ukochanej Astarte sam śmierć przyniósł. Odtąd tylko bezcielesna mara tej kochanki błądzi po pustym i wielkim gmachu duszy Manfreda; ku temu widmu wyciąga on ręce, na to aby wiecznie chwytać w objęcia powietrze i ciągle stwierdzać swoją straszną na świecie samotność. Jednem słowem chorobą Manfreda jest to, że nie może kochać nikogo i nic oprócz własnej dumy, która jest własnie źródłem jego cierpień, bo mu ciągle jego nicość pokazuje.

Jakże innym jest Konrad Mickiewicza! Cierpi on nie na próżnię serca, nie na brak miłości, ale na jej zbytek. A miłość ta, jak powiada o sobie, nie na jednym spoczęła człowieku

Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku;
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia.
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić....
Nie mam sposobu...

Ta olbrzymia siła indywidualizmu ukochała naród, ale pomimo iż czuje całą swoją wielkość, nic innego nie może uczynić dla narodu, jak tylko odczuwać w dziesięcioro wszystkie jego cierpienia.

Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wpleconego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

Jak inne źródło cierpień, tak i inny cel pragnień Manfreda i Konrada. Pierwszy pragnie tylko zapomnienia siebie, wyzwolenia się z bytu który jest dlań męczarnią; po za tem nic dla siebie nie widzi, jedno tylko chyba widmo Astarty zdoła go wyrwać z tej strasznej martwości serca. Serce Konrada, jak żar tlejący, pragnienia jego jak fale płomienne ognistą grzywą wzlatujące ku niebu i szturmujące o szczęście dla całego narodu.

Za to zuchwałość i duma Konrada nie jest bynajmniej mniejszą od zuchwałości i dumy Manfreda. I owszem, na tej drodze Konrad dalej zachodzi. Manfred tylko z duchami drugiego rzędu ma do czynienia, tylko ich władzy nie chce uznać nad sobą, przeciw najwyższej zaś istocie nie występuje, omija ją, jakby umyślnie. Konrad uzbrojony miłością i męką narodu śmiało staje przed tronem Najwyższego i wyzywa go do walki. Szaleństwo dumy i miłości dyktuje mu straszne słowa, na które zimny Manfred nie zdolny się nigdy zdobyć.

Wyzywam Cię uroczyście!
Nie gardź mną; ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy i trony:
Jeźli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli szatan:
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.
. . . .
Milczysz? jam ci do głębi serce me otworzył...
Zaklinam, daj mi władzę; jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha;
Tą jedną cząstką ileż ja bym szczęścia stworzył!
Milczysz?... Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Że cię znam lepiej, niźli twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły...
Jeślim nie zgadł, odpowiedz... Milczysz... Ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię...
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie...
Widzisz to moje ognisko: uczucie!
Zbieram je, ściskam by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie
Jak nabój w burzące działo...
Odezwij się, bo strzelę przeciw twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę całym państwem Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia;
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale..
Głos djabła. Carem!

Ale ta straszna raca bluźnierstwa, nie jest ostatniem słowem Konrada i tu nowa zachodzi różnica pomiędzy nim a Manfredem. Manfred umiera jak żył, nie zmieniony, nieugięty, niestrwożony zbliżaniem się śmierci i z dumą odpychający wysłańców piekieł. Jakimby był Konrad przy końcu życia, a przynajmniej przy końcu poematu, nie wiemy, poemat bowiem nieskończony, ale domyślać się możemy z następnej sceny z ks. Piotrem, gdzie całe szaleństwo pychy przedstawione jest przez poetę jako działanie złego ducha. Ks. Piotr wypędza złego ducha i na skrzydłach modlitwy unosi Konrada z przepaści zwątpienia i szaleństwa na światło wiary Bożej.

Dźwigasz mię!.. Ktoś ty? Strzeż się, sam wpadniesz
[w te doły!
Podaje rękę... Lećmy! W górę jak ptak lecę,
Mile oddycham wonią, promieniami świecę.
Któż mi dał rękę?... Dobrzy ludzie i anioły!...

Tak nawrócony i ocalony będzie musiał naturalnie odpokutować za szaleństwo swej pychy i miłości, ale potem wróci do większej jeszcze łaski Pana.

Myśl twoja, w brudne obleczona słowa,
Jak grzeszna z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje,
I z większym niźli pierwej blaskiem zajaśnieje.

Sceptycyzm zatem religijny w Konradzie jest dysonansem, który rozwiązuje się w harmonią gorącej wiary. W Manfredzie są również podobne usiłowania, jak księdza Piotra, aby duszę Manfreda uspokoić na łonie wiary, również występuje tu ksiądz, jako przedstawiciel wiary objawionej, ale jakże słowa jego zimne, jak poziomo, biednie wyglądają wobec dumnej nieustraszoności Manfreda. Nie wywierają też one żadnego wpływu na duszę tego ostatniego i służą tylko jakby do uwydatnienia milczącej pogardy jego. (C. d. n.)

AUTOMATY.

Mimo całej wiary w istnienie i działanie sił nadprzyrodzonych, wiary wspólnej wszystkim ludom znajdującym się na niższych stopniach rozwoju, wcześnie już spostrzegli ludzie rozumniejsi, że najpewniejszym środkiem dojścia do wywołania nadnaturalnych z pozoru zjawisk, jest cierpliwa praca nad fizycznemi i w ogóle naturalnemi ich przyczynami.

To też w historji każdej cywilizacji, wschodnich i zachodnich ludów, znajdujemy obok wiary w cuda, dążenia do wywołania ich sztuką. Widząc jak łatwo ciemne tłumy korzą się przed lada bohomazem, który obok podobieństwa do ludzkiej postaci miał nadto jakiś przymiot w wyższej potędze, np. blask i bogactwo, a choćby tylko wielkość potworną, widząc zwłaszcza skłonność do oddawania czci posągom i figurom, postać ludzką lepiej jeszcze naśladującym, można zrozumieć, jak dalece ci, którzy z tego bałwochwalstwa materjalne i moralne korzyści ciągnęli, musieli się starać a to, aby jeszcze tym martwym figurom nadać pozór życia, ażeby w nich *automatycznie ruch wywołać.* Dzisiaj nawet dziecko bawiące się myszką mechaniczną, która biega za nakręceniem sprężyny, nie weźmie jej przecież za istotę żywą, ale człowiek ciemny, który widzi skutki nie widząc przyczyn i dziś jeszcze nieraz da się oszukać;—a cóż dopiero wówczas, gdy żadnych *maszyn* lud nie widywał i gdy myśl opozycji przeciw możności cudów tak daleką była od ich nastroju umysłowego, jak dziś wiara w cuda u większości ludzi wykształconych.

Ponieważ zaś postęp nauk w ogóle a więc i mechaniki odbywał się w ciasnem i tajemniczem kółku uczonych kapłanów, którzy tajemnic swoich strzegli lepiej jeszcze niż kasy, mając z nich zysk stały i pewny, nauka więc postępowała, robiła odkrycia i zastosowania, bez żadnej kontroli ogółu, bez wiedzy jego nawet. Lud miał prawo i istotnie mógł tylko padać na twarz przed wynalazkami, których mechanizmu nie przeczuwał nawet. Zwolna też świątynie indyjskie, chaldejskie, egipskie wreszcie greckie i rzymskie napełniały się przeróżnemi maszynerjami, zapomocą których można było i gromy nieba naśladować i bałwanom ruchy nadawać.

Wynalazki te jednak jako robione w łonie sekty i na jej wyłączny użytek, nie przynosiły sławy właściwemu wynalazcy lecz tylko pewnej świątyni, albo raczej przywiązanym do niej bóstwom. Wiele też nazwisk i bliższych szczegółów pomysłu, zaginęło dla historji nauki.

Pierwszym wynalazcą automatów, o którym zachowały się niektóre szczegóły, był *Architas* Pitagorejczyk, z Tarentu, przyjaciel Platona. Jako ósmy z kolei następca Pitagoresa w przewodnictwie szkoły wsławił się on różnemi pracami w dziedzinie praktycznej mechaniki, wynalazł blok, śrubę a przedewszystkiem podziw współczesnych: mechanicznego gołębia, który wzlatywał z ręki w powietrze, zatrzymywał się i wracał na nią z powrotem. Gołębie takie można było widzieć na ostatniej wystawie wiedeńskiej; podrzucano je wachlarzami, co nadawało ruch skrzydłom i ptak wskutek swej lekkości ulatywał na kilkanaście metrów ukośnie w górę, potem wskutek przekręcenia się skrzydeł, znajdujących odpowiedni opór w powietrzu powracał tą samą drogą na wachlarz.

Wiemy także, ale już bez bliższych szczegółów, że w starożytnej Grecji znane były kapłanom mechaniczne węże spiżowe, które pełzały po trawie i syczały wysuwając język, ptaki złote które uderzały skrzydłami i śpiewały i woły spiżowe wydające ryk; a nadto niemal w każdej świątyni znajdowała się pewna liczba posągów które poruszały głową lub rękami.

Statua Jowisza Amońskiego w Libii obnoszona w procesji przez księży, marszczyła brwi,

gdy chciała się zatrzymać i prorokować przez usta kapłana brzuchomówcy.

W świątyni Phygale, siedząca postać Apollona podnosiła się na znak zadowolenia, gdy jej składano ofiary.

Dianna w Efecie — podnosiła rękę, obracała się na miejscu a nawet przemawiała od czasu do czasu za pośrednictwem tuby akustycznej, przez którą krzyczał ukryty w krużganku kapłan.

Maesobiusz przytacza, że w świątyni Hieropolis widział posągi wstające z miejsce, chodzące i wracające następnie na miejsca. Podobnego rodzaju automat obwożono przed 20 laty po Europie, w muzeum figur woskowych. Widziałem go w Warszawie. Była to kobieta zręcznie wyrobiona z wosku, czy też masy papierowej, która za nakręceniem sprężyny tańczyła polkę lub walca, oddychając mocniej piersiami i rzucając zalotne spojrzenia. Po skończonym tańcu odprowadzona przez tancerza, składała ukłon i siadała na krześle chłodząc się wachlarzem.

Czegóż więcej można żądać od pospolitej tancerki! Nie potrzebujemy jednak przypuszczać, że owe automaty starożytnych przedstawiały tak wysoki stopień mechanizmu. Dla wywołania podziwu wystarczały wówczas środki nierównie prostsze. Zwykle też ograniczano się na zastosowaniu sznurków pociąganych z za sceny i rur metalowych, któremi głos się rozchodził. W ten sposób na życzenie kapłanów posąg Cybelli wypowiedział następujące słowa:

„Unieście mnie ztąd czemprędzej i zaprowadźcie do Rzymu, jedynego miasta, które zasługuje na to aby w niem bogowie mieszkali.“

Istnieją wszakże dowody, że i sztuka mechanicznego odtwarzania głosu, a przynajmniej prostszych jego form nie była obcą starożytnym.

Zdumiewający przykład tego rodzaju mechanizmu przedstawiał posąg Memnona, który jęczał żałośnie, jak tylko padły nań promienie słońca. Juwenalis, który żył za czasów Adrjana i Philostrates mówią o tym cudzie jako istniejącym za ich pamięci (*Debay*. Hist. des science occultes).

Możliwość takiego mechanizmu, którego tajemnicy starożytność nam nie przekazała, dopiero dziś jest dla nas zrozumiałą po odkryciach Siemensa i Bella przed kilku laty dokonanych. Pierwszy z nich wykazał że blaszka *selenu* pierwiastku metalicznego, zmienia swe przewodnictwo elektryczne pod wpływem światła, jeżeli więc taką blaszkę połączymy z telefonem, to gdy na nią padnie światło usłyszymy dźwięk lub huk w telefonie. Ale głosy te nie będą tak silne, ażeby mogły być z większych odległości słyszane, a przytem jest bardzo wątpliwem, czy statua Memnona na tej właśnie zasadzie zbudowaną być mogła. Prawdopodobnie był to mechanizm podobny do tych, jakie w różnych zabawkach dziecinnych krzyczących znajdujemy, tylko że poruszany siłą ciepła słonecznego w sposób nam nieznany. Może zwierciadło w rodzaju Archimedesowego ogrzewało wodę, zamieniało ją na parę, która podnosząc blaszkę odpowiednią albo wprost wydobywając się z rurki wydawała owe jęki, tak jak to dziś czynią lokomobile? Fakt spalenia floty rzymskiej przez Archimedesa „na odległość strzału“ (z łuku) a więc na kilkadziesiąt metrów jest najzupełniej możliwą, a dzisiejsze maszyny słoneczne Mouchota dowodzą nadto, że zagotowanie znacznych ilości wody siłą samego ciepła promienistego nie przedstawia żadnych trudności. Być więc może, że i tu ten sam pomysł zastosowano. (D. n.)

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Takie były dzieje kieszeni Rzewnickiego, przypatrzmy się teraz dziejom serca.

Serce to, jak widzieliśmy, było zakrwawione i rozdarte, a piękna Nina położyła sobie na zadanie uleczyć je, by rozedrzeć na nowo.

Gdy w ten sposób historja stosunków Rzewnickiego z domem Pogromskich, z powodu planu baronówny, zostawała w nierozerwanym związku z historją serdeczną naszego bohatera, musimy opowiadając jedną, a drugiej także z oczu nie spuszczać.

Wiemy już że baronowstwo nie wypowiedzieli Emilowi domu i nie wycofali się z kuzynostwa. Raz postanowiwszy postępować jakąś drogą, baron Zygmunt Pogromski umiał usuwać naprzód mogące się przytrafić przeszkody, takie przynajmniej, które można było łatwo przewidzieć i łatwo usunąć.

Do takich przeszkód należałaby jak przewidywał opozycja żony i Niny, gdyby się dowiedziały wskutek jakiej okoliczności zawiązała się wspólka barona z Emilem. Postanowił zatem zataić przed baronową i baronówną swój udział w tym interesie, co mu tem łatwiej było uczynić, że panie mieszały się do spraw pieniężnych tylko o tyle, ile im samym potrzeba było na szpilki.

Narcyz otrzymał odpowiednie instrukcje. Baronowa i Nina były najmocniej przekonane, że Emil rozpoczyna handel własnemi siłami i wiedziały daleko wcześniej niż mógł śnić o tem nasz bohater, że jeden sklep korzenny był tylko wstępem, po którym zacząć się miały milionowe obroty.

Na wstęp krzywiły się obiedwie, ale je łagodziła perspektywa owych milionów, samo zaś wzięcie się Emila do handlu, którego nie pochwalały bynajmniej, kładły na karb oryginalnego wychowania jakie odebrał. Gniewało je niemało, że nazwisko Rzewnickich, tak blisko z niemi skoligacone, musi figurować na szyldzie, ale je baron pokonał tym argumetem, którym Emil nie mógł pokonać jego samego, przykładem wielkiej fabryki machin i owych domów zleceń, których już tyle jak ktoś powiedział, ze swego stanowiska zleciało.

Z początku też cokolwzek zaczęły unikać Emila, ale w miarę rozrostu jego interesów, stawały się dlań przychylniejsze i przystępniejsze.

Niemało się też do tego przyczyniła i owa wieść, która do nich dojść musiała, że to Pogromscy wyposażyli swego kuzyna.

— Zkąd się mogła rozejść wieść taka? — spytała raz pani Zygmuntowa swojego męża.

— Rzecz prosta — odpowiedział jej baron — ludzie nie wiedzieli o nim, że nie jest goły, bo żył skromnie... teraz kiedy rozpoczął obracać pieniędzmi, właśnie wtenczas gdy ocalił życie Narcyzowi życie, naturalnem jest przypuszczenie, że to myśmy mu dopomogli.

— To prawda, trudno jednak żebyśmy potwierdzali tę pogłoskę.

— Nie ma potrzeby jej potwierdzać... ani zaprzeczać... co komu do tego: my czy nie my?.. Jeżeliśmy tego nie zrobili, to zrobilibyśmy niezawodnie, gdyby był tego potrzebował.

— *J'en doute* — uśmiechnęła się pani Pogromska.

— *Mais moi je n'en doute pas* — z uśmiechem porozumienia odpowiedział jej baron Zygmunt.

Odtąd Rzewnicki, jako żywe świadectwo, że państwo Pogromscy jeżeli nie zapomogli, to byliby zapomogli swego dalekiego kuzyna, któremu winni byli pewną wdzięczność, stał się nawet niekiedy potrzebnym w ich salonie.

Mimo to Emil bywał tam bardzo rzadko, a jeśli bywał, to o Natalii z Niną nie mówił wcale.

Zbyt wiele czuł się on winnym staremu baronowi, żeby miał w kimkolwiek należącym do jego rodziny upatrywać i szukać umyślnie złej strony. Mimo to przecież nie mógł się nie domyślać czegoś dwuznacznego w postępowaniu Narcyza.

Otworzyło mu na to oczy odkrycie pseudonymu hrabiego Gustawa.

Narcyz nie mógł nie wiedzieć z kim go zaznajamiał, a jednak rozmyślnie fałszywie mu przedstawił nowego znajomego.

Był to krok, który z jednej strony niezmiernie oziębił naszego bohatera dla młodego barona, z drugiej uczynił go ostrożniejszym co do tajemnic swego serca.

Nie robił Narcyzowi wymówek, nawet oprócz pierwszego zapytania, które powtórzyliśmy, ani razu przy nim nie wspominał o Gustawie, o którym zresztą sam mówić nie lubił, ale za to nic nie mówił Ninie o dalszym przebiegu swej miłości dla Natalii, głównie dlatego, żeby przez nią te wiadomości nie dochodziły do Narcyza i do Gustawa, jej bowiem samej nie miał nic do zarzucenia, i szczerości jej pociech nie podejrzywał bynajmniej, ani się w nich nie domyślał żadnej ukrytej intencji.

Zbytecznem jest prawie mówić, że z chwilą gdy się uczuł na drodze do niezależności i ujrzał nagle uwolnionym chociaż, jak sądził, tylko chwilowo, od stojącego mu na przeszkodzie do szczęścia Gustawa, zaczynające się już zabliźniać jego serce na nowo z jeszcze większą potęgą płonąć zaczęło namiętnością dla Natalii.

Tę namiętność, którą dawniej krył tylko przed kochanką, taił teraz i przed nią i przed powiernicą.

Nie słysząc od niego żadnych zwierzeń w krótkich i rzadkich rozmowach, jakie z sobą miewali, Nina wytłumaczyła to sobie po swojemu.

Zdawało jej się, że już przez pół zrobiła swoje, że Emil już zapomniał swej miłości, której zwierzeniem ją obraził, że tylko kilku spojrzeń, kilku uśmiechów, kilku zręcznych słówek z jej strony potrzeba było, żeby go ujarzmić, doprowadzić do zakochania i ukarać jak zamierzyła.

Tryumf łatwy stracił dla niej wiele z swojej ponęty. Odkładała go z dnia na dzień, aż

nareszcie wyjechała z matką do wód, nie zabrawszy się do zwycięztwa.

Emil tymczasem rósł w pierze mówiąc kieszeniowo i u Natalii coraz nowe zjednywał sobie względy.

Chorobliwa wyobraźnia poetki widziała i wyegzaltowała prawie jego czyn heroiczny. Wypędzony nieledwie z jej domu dla innego, pospieszył na pierwsze zawołanie w imię przyjaźni i robił wszystko co było podobna i potrzeba dla jej ocalenia, w ciszy ukrywając bardziej swoje zasługi niż je podnosząc, nie śmiejąc jednem słówkiem wspomnieć o miłości, której jednakże panna Balska już dawniej się domyślała, a teraz była całkiem pewną.

Dla kobiety, której ktoś poważył się zrobić znieważającą propozycję, i która tak jak Natalja boleśnie to upokorzenie uczuła, każdy czyn dowodzący poważania i głębokiego szacunku, jest stokroć drogim. Była mu więc wdzięczną za gotowość z jaką pospieszył na wezwanie jej matki, za dyskrecją z jaką nie myślał się nawet dowiadywać o przyczynach zerwania z Gustawem; była wdzięczną tembardziej, że czas, który jej poświęcał, był z wysileniem okradziony innym obowiązkom, jakie się nagle na niego zwaliły.

Wdzięczność ta, pewnym urokiem poetyczności opromieniła Emila, w jej oczach, a w nimbie poetycznym wszystko się, jej, jak wiemy, przedstawiało piękniejszem i lepszem.

Z drugiej strony matka żywo uczuła przywiązanie i przyjaźń Emila i zgadując prawdziwie motyw jego postępowania, szczerze zaczęła sprzyjać jego zamiarom, nie wątpiła bowiem, że Rzewnicki, będąc teraz na drodze do zdobycia sobie niezależności niedługo o rękę Natalii się oświadczy.

Delikatnie, zdaleka, zręcznie zaczęła przygotowywać córkę, żeby się swych marzeń wyrzekła, i zamiast artysty lub poety przyjęła zamożnego kupca.

Praca matki codzień pilniejsza i wytrwalsza, bo w miarę wzrostu powodzenia Rzewnickiego, do poprzednich pobudek, jakie panią Balską skłoniły do przyjęcia jego strony, przybywała nowa, najpotężniejsza, to jest przekonanie, że Natalia za Emilem zrobi karjerę, praca ta nie była bezskuteczną.

Nie było prawie wątpliwosci, że w stanowczej chwili córka, może jeszcze nie bez łez, ale przystanie.

Wyglądała też pani Balska tej chwili z niepokojem, ale chwila owa nie przychodziła.

Emil, jak już powiedzieliśmy, krył się teraz z miłością, bardziej niż w pierwszem przed-gustawowem stadjum swoich stosunków serdecznych i zmian zachodzących w usposobieniu Natalii względem niego nie dostrzegał, to jest raczej fałszywie je sobie tłumaczył.

Dawniej do każdego uśmiechu Natalii, do każdej zwykłej towarzyskiej grzeczności, jaką go obdarzyła, czepiał swoje nadzieje i na nich budował plany, w których spełnienie się sam nie wierzył. Zawód jakiego doznał, nauczył go, że te wszystkie marzenia były złudzeniem i że brał przyjaźń za miłość. Pod wpływem tego rozczarowania musiał zostać sceptykiem, i teraz rodzącej się miłości nie widział, a raczej brał ją za przyjaźń.

Był ciągle przekonanym, że Natalia kocha Gustawa. Pozostając w błędnem pojęciu o powodzie choroby Natalii i wyjazdu jej kochanka, gdyż jak wiemy domyślał się w tem tylko czystych z obu stron pobudek, był przekonanym, że Gustaw pracuje nad usunięciem przeszkód, które mu się dotąd z Natalią ożenić nie pozwalały i że jak tylko wróci poprowadzi ją do ołtarza.

Mimo to czuł że kocha i kocha codzień więcej, jeżeli to było podobna. Ciągłe, prawie codzienne widywanie Natalii, jej coraz wyraźniejsza życzliwość, były przyczynami potęgującemi tę miłość, którą za jeszcze mniej praktyczną uważał niż poprzednio.

Tak doczekał się powrotu baronowej i Niny z za granicy i powrotu Gustawa, który wkrótce potem nastąpił.

Emil był już wówczas właścicielem trzech sklepów, uchodził za jednego z bogatszych kupców w Warszawie. Baronowa i Nina dowiedziawszy się o tem, uwierzyły, że się znajduje na drodze do milionów, jak to im przepowiadał mąż i ojciec; bohater nasz zaczął zatem być przyjmowanym w ich salonie tak prawie uprzejmie i chętnie jak w początkach znajomości, lubo pewne odcienia wskazywały wyraźnie, że pamiętano iż jest tylko kupcem.

Więcej zapewne dla ścisłości jak z potrzeby dodać tu winniśmy, że baronowa nie miała względem Emila żadnych matrymonialnych widoków, a połączenie go z jej córką nawet jej na myśl nie przychodziło; Nina zaś uważała ciągle Emila za zakochanego w sobie, pamiętała dawną urazę i planu zemsty się nie wyrzekła.

— Robi majątek — powiedziała sobie — wyraźnie w tym celu, żeby go mnie ofiarować... spieszy się, bo się boi, by go kto nie ubiegł...... szczęśliwy, wiedzie mu się, to musi jeszcze bardziej podsycać jego nadzieje. Bylem tylko spojrzała i kiwnęła, będę go miała u mych stóp, a wtedy... *oh! ma vengeance sera terrible!*

Zdawało jej się, że na tę zemstę już przyszła pora i zaczęła ją przygotowywać. Jednego wieczoru, kiedy Rzewnicki zaproszony przyszedł do nich, znów go zajęła wyłącznie dla siebie, grała mu, szczebiotała, bawiła się nim.

Emil zrazu był smutny. Bolało go, że wierny swemu postanowieniu, musiał się wyrzec zwierzeń przed nią i pociechy jaką go darzyła.

Wszystkie wysilenia Niny, żeby go rozruszać i rozgrzać były daremne, był zimny i posępny pod grzeczną powłoką.

— Czyżbym się myliła? — mówiła do siebie rozdrażniona — czyżby się nie uleczył jeszcze z owej dawnej miłości?

Postanowiła dowiedzieć się o tem bądź co bądź.

— Panie Emilu — rzekła do niego — coś dawno już nie mówiliśmy o pańskiej historji serdecznej... powiedziałeś pan, że iść będziesz za mojemi radami... mam prawo wiedzieć czyś dotrzymał.

— Dotrzymałem — odpowiedział Rzewnicki.

Nie było w tej odpowiedzi prawdy zupełnej, ale była częściowa. Emil się nawet nie domyślał, że kłamał, że brał rezygnację z jaką oczekiwał, na przyjazd Gustawa, który jak mniemał, miał go na nowo odepchnąć od Natalii, za radość z jej szczęścia do jakiej namawiała go Nina.

— Więc serce pańskie uleczone?...

— Serce moje jest dzisiaj w nowej fazie, o której mówić przed panią nie mogę...

Tak wyraźnem oświadczeniem niechęci do dalszych zwierzeń, Rzewnicki zamknął rozmowę.

Ninie spodobały się te słowa.

Pomimo raz doświadczonego zawodu, tłumaczyła je ona sobie tak samo błędnie, jak niegdyś rozumiała słowa i zwierzenia Emila. Szukając znaczeń wyrazów w słowniku pewności siebie, chociaż już raz o jego omylności miała sposobność się przekonać, wpadła na myśl dosyć prosto dającą się wyprowadzić z słów Rzewnickiego i powiedziała sobie, że się zakochał w innej — a tą inną była ona.

— Mówić o tem przedemną nie może — myślała — zwierzać się nie chce... rzecz naturalna... żałuje dzisiaj niezawodnie, że gadając o tem swojem dawniejszem kochaniu sam sobie teraz zamknął drogę do wyznania. No, ale swoje zrobić muszę... jestem już na dobrej drodze.

Trudno opowiedzieć, jak ją uszczęśliwiło to spostrzeżenie.

Nina — wątpimy czy nam się powiodło dać lepiej jej charakter poznać czytelnikowi — była rozkapryszonem pańskiem dzieckiem, któremu pieszczone wychowanie nietylko w głowie ale i w sercu strasznego narobiło nieporządku.

Dorosła już oddawna, posiadająca wiele znajomości świata i życia w obrębie sfery w której żyła, dotychczas nie kochała nigdy. Jak w rzeczach woli to jej się podobało najlepiej i tego najusilniej pragnęła, co jej otrzymać przychodziło z pewną trudnością — tak w rzeczach serca obojętnem było dla niej wszystko, co przychodziło łatwo.

Hołdy salonowców, na brak których uskarżać się nie mogła, eleganckie zalety odpowiednich jej majątkiem i stanowiskiem paniczów, wzdychania i zabiegi podrujnowanych panków, co jej mieniem pragnęliby podreperować fortuny — wszystko to sprawiało jej pewną przyjemność, że tak powiemy ujemną. Cierpiałaby niezmiernie, gdyby tego była pozbawioną, bo wiedziała, że takie rzeczy są przywilejem piękności, posagu i tytułu — ale mając to wszystko czem piękność, posąg i tytuł obdarzyć może, czuła, że jej tego nie dosyć, że na tem poprzestać nie zdoła.

Nie co chwila, nie codzień, nie ciągle i stale, lecz od czasu do czasu przychodziły jej kaprysów zachcenia „szybki z okna“ i byłaby w danej chwili wszystko za tę szybkę oddała. Po niejakim czasie ze straceniem przedmiotu z oczu, chęć słabła, pragnienie wylatywało z pamięci, uporek dążący do postawienia na swojem miękł i elastyczniał. Trwało to jednak tylko przez czas jakiś. Po pewnym czasie znowu wracała silna wola, dostania tej samej szybki, a za drugim powrotem była już cierpliwszą i trwalszą.

Taką „szybką z okna“ był dla Niny Emil, a raczej wyznanie miłosne, które z ust jego usłyszeć pragnęła.

Z początku chciała szybki, żeby się nią pobawić. Nie dostała jej, zawiodła się, zaczęła więc jej pragnąć ażeby ją stłuc. Ale od po-

wzięcia tego ostatniego zamiaru do jego wypełnienia upływało zbyt wiele czasu; Nina miała sposobność ochłonąć nieco z rozdrażnienia i w końcu nie wiedziała na pewno, czy gdyby owa szybka wpadła jej do ręki, potłukłaby ją tak jak zamierzyła.

Doszło wreszcie do tego, do czego dojść musiało drogą takiej komedji, złudzeń i pozorów. Pragnąc coraz usilniej doprowadzić kuzynka do wyznania i nie mogąc tego dopiąć inaczej, Nina nareszcie powiedziała sobie:

— A przecież swoje zrobić muszę.... i gdyby nawet trzeba było wyrzec się zemsty... zrobię.

W tem wyrażeniu: „gdyby trzeba było wyrzec się zemsty,“ mieściła się niejasna może dla niej samej, lecz jasna dla nas tajemnica.

Był to początek tego o co Nina nie posądzała się sama — zaczynała kochać.

Zaczynała kochać miłością trochę inną od tych, jakie nam opisują powieściopisarze i poeci, ale także różną od tego, co za miłość powszednią uchodzi w salonach i od tego, czemu w codziennem, pospolitem życiu daje się zwykle miłości nazwisko. (C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

X.

Teraz to wybrany narodowy polski komitet wszedł od razu w stosunki z komitetami innych narodów i przez to jakby wytworzyła się nowa dyplomacja narodów bezpośrednio z sobą porozumiewających się za pomocą jawności ogólnej. Sieć ta miała silne wpływy w każdym kraju. Współczucie każdego węzła jej ku nam było niekłamane, dyktowane poczuciem prawdziwem godności człowieka.

W ustawie swej komitet narodowy położył, „że każdy Polak może zostać członkiem ogólnego zebrania z prawem wyboru komitetu, jeśli wprowadzony zostanie przez członków już znanych i przyjęty bez żadnego zarzutu,“ a „każdy Polak, który miał udział w rewolucyjnem powstaniu narodowem i służył ojczyźnie bądź w szeregach, bądź na urzędzie, bądź innym sposobem, jest członkiem zebrania Polaków, skoro się znajdzie w Paryżu i ma wolą i chęć przystąpienia do tego zebrania“.*) Sam zaś komitet stały narodowy miał czuwać nad interesem narodowym i nad losem wypartych z ojczyzny Polaków; przemawiać w ich imieniu; znosić się z członkami władz narodowych; z komitetami dla sprawy polskiej zawiązanymi tak swojego narodu, jako też i innych; nakoniec z ziomkami swoimi.“**) Chociaż ustawę tę pierwotnie uchwaliło niewielu rodaków, jednak nowo przybywający na emigrację przyłączali się do istniejącego komitetu i przystępowali do uchwał ogólnego zebrania i spora ich była liczba. We Francji wyznaczono Polakom kilka miejsc dla pobytu i tam stały się przybytki tak nazwanych *zakładów*. Na pierwszą chwilę ogniskiem i pośrednikiem pomiędzy zakładami staje komitet narodowy. Oparłszy się na deklaracji przystąpienia ich do organizacji i podpisach wybrani do komitetu zaczęli przemawiać do ludów całej Europy i Ameryki. Spory tom drobniutkim drukiem: *Całoroczne trudy komitetu narodowego polskiego.* Paryż 1831—1833, świadczy o tej pracy, jaką mieli jego członkowie, a odezwy i adresy mężów różnych narodowości do niego nadsyłanych o stosunkach spożytkowywanych na korzyść naszej sprawy.

Dzisiaj nam śmiesznem się wydaje pisanie odezw do Moskali, których ani jeden Moskal nie przeczytał, do wojsk moskiewskich i t. p. Ale w swoim czasie inaczej musiała przedstawiać się ta dyplomacja nie poparta 400.000 bagnetów, bez donkiszockich strojów i karet liberyjnych. Musiała ona wydawać się czemś ważnem, jeżeli odezwy i manifesta najczęściej redagował sam genialny Lelewel, lub też Chodźko L., a nasi listopadowi mężowie stanu nie wahali sie podpisywać i rozpowszechniać.

Najpierwszą odezwę wydał komitet narodowy do wojowników Polski. Pozwalam sobie na małe wyjątki z niej: „....Raz jeszcze na dłoni wolnego człowieka żelazo despoty wygniecie znamie poddaństwa. Jeszcze raz zbrodnią będzie nazywać siebie Polakiem. Taki los zgotowała nam *niedołężność* lub *zdrada*..... gdzież kiedy Polak pierzchał przed Moskalem? A jednak upadliśmy! *bo wasi przewodnicy nie wzbudzili w sobie tak jak wy wiary w zmartwychwstanie ojczyzny*, bo zamiast przekonania we własnych siłach, zamiast ufności w tylu zwycięstwach, albo się na pośrednictwo obce oglądali, albo was z wrogiem wbrew woli narodu pogodzić chcieli.... I ten, którego ramie wasze zagnałoby za brzegi Dniepru, nad brzegami Wisły pozostał!“ Wtedy to publicznie zarzucono niedołęstwo lub zdradę kierownikom powstania i w ówczas otwierająca oczy masa, co zwycięstwami przegrała najczystszą sprawę, opamiętując się zaczęła anatomizować za życia te graty pruchna szlacheckiego i wydobywać kiełkujące nasiona życia, które do dziś dnia rozwijając się coraz pewniej utrwala zapewnienie przyszłości narodowi.

Dzienniki powstańcze uprzednio jeszcze niejednokrotnie napomykały o zdradach lub niedołęstwie, ale żołnierzowo-wojenny patrjotyzm lub szlachecko-konwenansowa przyzwoitość nie dopuszczały w oczy publicznie wytykać całą niedołężność kierowników i rzucać całą moralną odpowiedzialność za grzechy na dobrodusznych nieraz ich sprawców. Zaocznie, pokątnie, mówiło się wiele, ale wyprowadzić na jażń dzienną nie było cywilnej odwagi. Komitet narodowy już zewnątrz wpływów sejmowych, rządowych, wojennych kombinacyj i poświęcenia swych przekonań dla pozornej zgody — przemawia o zdradach.

Emigracja cała teraz swobodnie zaczyna się rozpatrywać w sprawie przegranej i z wysokości ołtarzów ściągać postawione bałwany, czyszcząc miejsce na ołtarz boga nieznajomego — odpowiedzialności za popełnione czyny i obowiązku służby narodowi dostawszy się na jakiekolwiek stanowisko.

Początek tej walki zażartej stronnictw na wychodztwie, która stworzyła w Polsce pierwsze stronnictwa polityczne, grupujące się koło pewnych przekonań, a nie osób zwyczajnych bardzo, a ubóstwianych nadzwyczajnie, datuje od tej odezwy walecznych obrońców ojczyzny.

Jeszcze wówczas nie zagrzmiał ten głos wyrzutu sumienia narodowego, co natchnął wzniosłym wierszem Juljusza Słowackiego *Grób Agamemnona;* jeszcze nie pytano się ile was było unosząc głowy na tułactwo. To też Kom. Nar. przemawia: „Jakto, sromota na czole Polaka! Nie! można mu ztargać najświętsze jego węzły, można krew jego roztoczyć, ale go hańbą zmazać nie można. Przenieśliście wygnanie nad sromotę, poszliście żyć na obcej ziemi; bo tam gdzie wasi ojcowie wolnem tchnęli powietrzem, wybyście niewolnikami byli. Wzrok wasz za każdym krokiem *spotykałby panów szydzących z waszej męczarni.*“

W rok później (14 grudnia) pisał Chodźko L. do *Rakozy:* „Gdy podczas konfederacji Barskiej i w epoce 1go podziału Polski, niedobrzy arystokraci i ich zausznicy sprzedawali ojczyznę Moskwie, Prusom i Austrji; gdy ich karety stały u pałaców ambasadorów tych trzech dworów, i gdy sprzedajcy brali u tych ambasadorów obrączkowe dukaty, ordery i godności, wówczas cnotliwi ale biedni Polacy, przechodząc przez ulice Warszawy pokazywali palcami mówiąc: *iż źle się dzieje, iż ci panowie sprzedają ojczyznę!* Ale inna część publiczności i wiele nawet dobrych, tylko dobrodusznych obywateli, powstawali na te ostrzeżenia i gromili podobne mowy, odpowiadając, iż to jest potwarz i zapytywali: *a gdzie są na to dowody autentyczne?*“ We dwadzieścia lat później zdobyty pałac Igelstroma dał te dowody.

To też nie dziw, że Komitet Narodowy nazajutrz po powstaniu postanowił przyjmować do ogólnego zgromadzenia zarówno walczących jak i grabarzy ojczyzny, bo dowodów autentycznych nie miał. A w odezwie zaś swojej do wojowników tylko o zdradzie ogólnikowo mówi. Zapomniawszy hańby upadku dobrowolnego K. N. wzywa do dalszej pracy i walki: „Czy słyszycie ludów Europy i Ameryki błagalne za waszą sprawą modły? czy słyszycie i dziś pochwalne dla was pienia?... Narodów wytępić nie można. I my nie zginęliśmy! Nie zginął nasz język, obyczaje, religja; nie zginęła pamiątka naszej wielkości, pamiątka władztwa polskiego nad tymi co dziś naszą przygnietli ojczyznę. Jeszcze rdza nie stoczyła polskiego żelaza, jeszcze *koń polski zarży pod ulubionym wojownika ciężarem, pod dzidą ułana lub krakusa.* Jeszcze i dla nas zaświeci gwiazda wolności.“ — „Polska, Polska Jagiellonów, niepodległa, wolna; lub wieczna śmierć! Oto jest hasło nasze!“ Woła 25 grudnia 1831 r., na zakończenie odezwy komitet, jakby na wyrzut, że gdyby rok przedtem ten okrzyk wydały jednomyślnie piersi członków rządu narodowego w powstaniu, nie byłoby tułactwa.

W kilka dni po tem, bo 31 grudnia, komitet przesłał odezwę do narodu węgierskiego po łacinie i po węgiersku wydrukowaną: „Głównem zjawiskiem naszego wieku, mówi on, jest to jednostajne przeświadczenie ludów, że *wolność, równość praw i sprawiedliwość są żywotnemi towarzystwa posadami* i źródłem cnót. Tylko źli i nierozsądni uważając narody niezgodnie z ich naturą, spajają je lub dzielą przeciw ich woli i stają się przez to początkiem i ofiarą swych postępków.“ A wspomniawszy, że Polakom walczącym za swą ojczyznę nic nie mogło się wydać bardziej przyjemnem nad oświadczenie Węgrów udzielenia pomocy w czasie powstania i że ten naród zawsze bratnio nam sprzyja kończy odezwa tak:

„Gdy uroczyste dzięki od naszego rządu narodowego, jeszcze w czasie wigoru sprawy naszej do was doszły, przyjmijcież teraz od nas tułaczów dziękczynienia. Oby Węgrzy w boju o wolność, były szczęśliwe i pamiętały, że Polska scho—

---

*) Organizacja ogólnych zgromadzeń czł. kom. nar. § III, I.

**) Organizacja komitetu narodowego stałego §. 1.

dząc z pola zwrócone oczy na Węgrów miała i przez Węgry ożywioną być może."

W Niemczech istniało wówczas mnóstwo komitetów pomocy Polakom: Augsburg, Darmsztadt, Ejzenach, Frankfurt nad Menem, Frejburg w Brizgowji, Göppingen, Hanower, Heidelberg, Kaiserslauten, Karlsruhe, Lipsk, Manheim, Mainz, München, Nürnberg, Rasztadt, Szpejer, Sztutgard, Tübingen. Ulm, Würcburg, Zwejbrük i wiele innych. Komitet więc narodowy pisał 24 Stycznia 1832 r.: „Dziś gdy zacne szczątki wojska naszego, szczupłe co do liczby.... przechodzą ziemie Germanji i co krok spotykają przyjacielskie przyjęcie, komitet..... poczytuje za zaszczyt, gdy może głośno..... oświadczyć wdzięczność wspaniałym Niemcom. Chwała i pomyślność narodów, *wolność i niepodległość ludów: zlewają się dziś we wspólny interes....* Wszędzie ściślejsze węzły krępują ludy, umiejące ocenić wartość wolności, umiejące za swą sprawę walczyć, zwyciężać i umierać." Rozesłana odezwa wywarła swój wpływ i liczne listy nadeszły od komitetów wezwanych do pośredniczenia w wypowiedzeniu tych uczuć przed narodem niemieckim. I tylko co w Niemczech zawiązuje się towarzystwo dla utrzymania wolności druku, wnet wysyła się doń adres, w którym pisze komitet n.: „*Sprawa wolności nie jest udziałem jednego ludu; należy do całej ludzkości.* Dlatego to zkądkolwiek na kuli ziemskiej jej głos się ozwał, odbił się bez różnicy po wszystkich sercach zacnych i godnych powołując je do podzielenia wszędzie usiłowań jakie nowe pokolenie, pełne wigoru, podejmuje w walce z dogorywającą przeszłością."

„Twoje, o Niemcy! wezwanie odezwie się wszędzie tam, gdzie prawa mają być odzyskane. *Wolność druku jest do tego najpewniejszym środkiem.* Dla tego to tyrani i despoci Europy dążą do jej zniszczenia: a ludy podają sobie rękę by ją utrzymać i odeprzeć zabójcze na wolność nastawanie. ....Mówcie, że *potrzeba aby Niemcy były od Rossji oddzielone przez Polskę demokratyczną.* W walce, na którą patrzała Europa, taka była nasza wiara, to jedyne dążenie. A może jedyna naszych klęsk przyczyna, znaleść się może w zawadach, jakie rozwinięcie tych przez nas wyznawanych zasad znajdowało ze strony naszych ziomków, którzy swoim powodowani egoizmem, nurtowali i odrętwiali nasze siły i nasze własne sposoby." A dalej: „Ludy życzą szczęścia drugim ludom Dla tego pukamy do wrót cywilizacji europejskiej, w imie miljonów Polaków, których przywilej wsparty despotyzmem, chciałby w podłej utrzymać służebności; a który najlepiej utrzymywali i krwią swą napoili naszego powstania wojnę." Zakończenie tego manifestu o ile wówczas wydawało się niejednemu marzeniem, o tyle dziś jest prawie widocznem. Zakończony on bowiem słowami z manifestu niemieckiego do Polaków: „a wtedy przez Niemcy wolne i demokratyczne, odrodzenie Polski demokratycznej nastąpi." Odezwę tę podpisali jak zwykle wszyscy członkowie, tylko że zamiast Sołtyka jest Rykaczewski. Było to 2 marca 1832.

Główna agitacja w sprawie wolności druku wychodziła z Badeńskiego, które stało się jakby najliberalniej urządzonem państwem na lądzie. Moskwa, przedstawicielka reakcji europejskiej, nie mogła na to obojętnie spozierać i omal nie urządziła krucjaty Bawarji, Wirtembergu i małych księżątek na Baden. Wtedy to komitet wychodząc z zasady, że sprawa wolności wspólną jest wszyskim ludom, jakby dając moralne poparcie związkowi wolności druku, pisał 24. marca 1832 *Obrońcy wolności i niepodległości, przeciwnościami które ich z ojczyzny wyparły, nie są zrażeni.* Polacy tułacze w Paryżu, umieją oceniać opór przeciw nastawaniu na wolność. Z boleścią widzą decyzję sejmu związku niemieckiego, która ścieśnia wolność druku, jako ubliżającą prawom ludu; opór zaś wielkiego ks. badeńskiego i władz księstwa, o którem pisma perjodyczne mówią, uznają za prawy i słuszny." Ale nie koniec na tem. Sami tułacze, nie umiejący zbawić kraju własnego, Polacy mieli jednak dość znaczne siły. Żołnierze co przeszli granicę, oficerowie w znacznej bardzo liczbie, a wytrawni i zahartowani walką z Moskalami, była to dość znaczna potęga i mogłaby jeszcze zaważyć na szali walki orężnej wewnętrznej w związku niemieckim. Wiedział o tem dobrze komitet narodowy, zarówno jak i każdy wychodźca. To też komitet nie waha się ani na chwilę wygłaszając oto taką rzecz: „Wyczytują przytem Polacy, że ziemie badeńskie zagrożone napaścią króla Bawarji i innych książąt związku niem., a to na żądania mocarza północy. Przeświadczeni są, iż jeżeliby ztąd przyszło do wojny między ks. badeńskiem a innemi państwami, że takowa wojna będzie wojną wolności, z uciskiem i despotyzmem. W takim razie oni i inni ziomkowie ich, wolności i niepodległości swej obrońcy, *będą gotowi pospieszyć do Badeńskiego walczyć w sprawie ludów.*"

Takie rzeczy wyszły z decyzji ogólnego zebrania Polaków w Paryżu, i komitet otrzymał polecenie wypełnić głośno tę wolę zebranych by: „stała się wiadomą wszystkim pragnącym stawać w obronie jednej z głównych wolności narodów." A występując w tym duchu odezwą „komitet narodowy pospiesza niniejszem zadosyć uczynić woli ogółu paryskiego"

Wtedy to komitety niemiecko-polskie pospieszyły z odpowiedzią najprędszą na odezwy wymienione z zaręczeniem pomagania sprawie polskiej i jej przedstawicielom emigrantom. Komitet narodowy podziękował za objawy współczucia i liczył za obowiązek znowu pisać: „po upadku naszym pomnożyła się wasza boleść, klęska była ogromna. Lecz upadek nasz ułatwił zawarcie tego przymierza, co go zaniedbali ci, co z sympatji ludów korzystać nie umieli. Jakoż przymierze to zawartem zostało między szczątkami naszych wojowników, a ludami, które w pielgrzymce naszej do wskazanego nam schronienia, od Warty i Noteci aż po za Ren z braterską przyjęły nas gościnnością, do swego przycisnęły serca i dotąd cieszyć i krzepić nas nie przestają nadzieją lepszej przyszłości."

„Z wami naprzód zawarliśmy to przymierze i wzajemnemi stwierdzili łzami, ponieważ wspólne nas łączą interesa, jedne życzenia, jedne ożywiają nadzieje, jednakie grożą niebezpieczeństwa. Bo tak jak wy poszarpani, spoić się nazad chcemy, tak wy więcej jak na trzydzieści rozkrojeni kawałków, słusznie żądacie zrosnąć się w jedno ciało polityczne, w jedną wspólną wszystkim ojczyznę; i starodawną wolność germańską z ustawami płynącemi z jednego źródła, to jest z odwiecznych praw człowieka." Dowiódłszy, że to jest cel przymierza mającego pogodzić ludy, komitet mówi, że „we wszystkich częściach Niemiec zaczęto znowu kłaniać się ciemnocie i despotyzmowi, zaczęto wolną hamować mowę" po naszem powstaniu.... „Wielkość wasza nie zatrwoży żadnego narodu tak jak żadnego nie zatrwoży przywrócenie Polski w dawnych jej granicach; bo nam duch zaboru i zdobyczy zarówno był obcym." Odezwę tę komitet zakończył dość oryginalnie: „Wdzięczni za okazane nam w niesprawiedliwym losie spółczucie, uroczyście wam przyrzekamy, mieć w tem wszystkiem udział, co wasza mądrość postanowi dla dobra wolności europejskiej, dla szczęścia całej ludzkości. Niech żyją Niemcy!"

Od 30 kwietnia, t. j. daty tego pisma, zaledwie parę tygodni ubiegło, a już komitet narod. wydał inne do braci Niemców zgromadzonych na uroczystość narodową w zamku *Hambach*: „Tak jest, wielki, wspaniały i szlachetny jest ten cel, dla którego osiągnienia roztrząsać macie środki, w tej nadziei poświęconej uroczystości. Żeby trafić do niego, żeby osiągnąć wspólne szczęście i pomyślność waszego narodu, żeby ugruntować jego wolność i niepodległość, skruszyć jarzmo domowego i zewnętrznego ucisku, jedna wam tylko pozostaje droga, a tą jest *polityczna jedność Niemiec*, zjiścić się mająca przez połączenie w jedno ciało pobratymczych szczepów wielkiego narodu. Co wszystko osiągnąwszy, aby ustalić i nadal zapewnić, *odwołać się należy do wszechwładztwa ludu, które powinno być gruntem wszelkiej politycznej reformy.*" A dalej jeszcze wyraża się komitet: „Przez emancypacją tak wielkiego narodu (Niemców) położonym zostanie *węgielny kamień do wyzwolenia wszystkich* innych *ludów z jarzma niewoli.*" A przypomniawszy by Niemcy czcząc pamiątkę walecznych za wolność narodu nie zapomnieli i o nas działających w tym samym duchu, komitet narodowy w imieniu Polaków wypowiada, że „zamiar nasz *rozciągnienia* dobrodziejstw *politycznej emancypacji do wszystkich klas mieszkańców, jest* i będzie zawsze *głównym celem naszych usiłowań, równie jak warunkiem niepodległości.*"

Przepatrując te odezwy do Niemiec uderza nas zrozumienie sprawy ludów i sprzyjanie szczere połączeniu drobnych państewek, największej tamy dla postępu; uderza śmiałe wygłoszenie wszechwładztwa narodowego i ludowego za jedyną rękojmię przyszłości.

Ale nie z jednymi Niemcami prowadziła się ta dyplomacja. Komitet narodowy pisał do Włochów, Anglików, Amerykanów, wygłaszając te same zasady braterstwa ludów i wykazując wszystkim narodom wspólność walki. W odezwie do Włochów z 6 Października 1832 mówi: „Długa niewola stała się doświadczeniem waszego narodu, który zaszczepiając w sobie zarodki nowego żywota, nie przestał wydawać mężów światła, swój naród do lepszej sposobiących przyszłości..... Lud, który u siebie znajdywał obywatelów, czyste zasady głoszących, pewnie nie jest skazany do niewoli. A dziś młodzież wasza...., jest obrazem... rychłego waszych swobód, waszej niepodległości odrodzenia." I rzeczywiście zaledwie ta młodzież doszła wieku dojrzałości, a za dni naszych już widzimy, że przeczucie komitetu nie było marzeniem. Z doktryny zaś politycznej wypowiedziany w odezwie ważny ustęp: W niczem się nie zmieniło, bliskie we wszystkiem Węgier, Polski i Włoch położenie; tenże ich jest interes, też same powinne być do działania momenta." (C. d. n.)

ZGON WESTALKI.

Monolog tragiczny w I akcie.

przez

BRUNONĘ R.

(Dokończenie).

Zimno mi — jakiś ból szalony,
Przenika członki i przebiega kości.
Jako błyskawic ogień rozpalony
I pierś rozpiera, szarpiąc bez litości.

Wężowe sploty otoczyły ciało
I coraz ciaśniej zasuwając kręgi,
Jak gdyby cierpień znałam jeszcze mało,
Wszystkie dziś na mnie wysyłają męki.
Krew w żyłach pada jak kroplami lodu,
Zabija członki, mrozem skamieniałe,
I jakby ciesząc się z strasznego głodu,
Jeszcze mi ciepło, bierze pozostałe.
Ha! coś mnie dusi, chleba dajcie, wody!
Wody przez litość, bo umieram srodze,
Już nic nie pragnę, szczęścia, ni swobody —
Dajcie mi wody — usta niech ochłodzę!
Ogień w mej głowie, ogień jak pożary
Straszne co miasta chłoną w dzikim pędzie,
A w owym ogniu, takie groźne mary
Lecą w wprost ku mnie wysuniętym rzędzie.
I śmierć mnie chwyta za skostniałe ręce
I nie zabija, wlecze w dal cierpienia —!
Och! kiedyż koniec będzie dzikiej męce,
Kiedyż już martwą będę i bez drenia.
Gdzieżeście znikły, Bogi tego świata,
Nie ma was nigdzie, ani waszej cnoty,
Tutaj się tylko złość ze złością brata,
Sędziami kaci, prawem kruszec złoty,
Bajka, marzenie, nie ma nic wielkiego,
Nic, co podnosi drzeniem pierś szlachetną,
Świat taki czarny, jako dzień ciemnego;
I jednej chwili nie nazywam świetną.
Ha! ja się boję, śmierć się tak spokojnie
Skrada koło mnie, zwolna mnie zabija,
Nie już nie zdołam cierpieć tu tak znojnie —
Już mnie ziębniętą, siecią swą owija.

(z gwałtownym wysiłkiem)

Nie, nie tryumfuj, tyś piekielna jędza,
Ale jam silna i mam dość odwagi —
Słuchaj — mnie twoja nie zabija nędza,
Dla mnie już życie nie ma żadnej wagi.

(próbuje się udusić zasłoną — z rozpaczą)

Nie mam już siły, tyś mnie już pożarła
I z żywej szarpiesz, kawałami ciała,
Nie dręcz, zaczekaj abym jnż umarła —
Ty chcesz bym z męką w twojej ręce drżała!
Takie mi rany w chorem sercu wstają,
A z nich zaraza szerzy się w około,
Do głębi duszy jady się dostają
I w czarnych plamach okrążają czoło.
A każda plama woła: tyś umarła!
I z śmiechem strasznym powtarzają echa:
Umarłą jesteś — umarłą — umarłą!
Nawet ta ciemność słowem tem oddecha.

(z coraz to większym obłędem.)

W płórkę mnie kładą wyrąbaną w lodzie,
A nad nią stoi z ręką ołowianą
Śmierć i dobija mnie jęczącą w głodzie,
Strachem i mrozem, gnębi mnie skazaną.
Umarłą byłam, już w dziecinnej dobie,
Umarłą byłam, Vesty strzegąc stosu,
Umarłą jestem, żywa stojąc w grobie
I nie mam w duszy żadnej myśli głosu.
Wszystko się plącze przy mnie i wiruje,
I mnie porywa jakiś ogień groźny,
Jakaś męcząca mgła się w koło snuje,
I senność dziwna, duch ogarnia mroźny.
Ha! snu chwileczkę, snu dla wypoczynku
Snu zapomnienia — nie, ja spać nie mogę,
Śmierć jest podstępną — ją chcę na uczynku
Schwycić zbrodniczym — nie ja spać nie mogę —

(usypiając zwolna)

Słyszysz, nie mogę — wznieście się powieki,
Na utrudzone nie spadajcie oczy —
Potem sen będzie, sen przez całe wieki —
Teraz nie — słyszysz — śmierć już tutaj kroczy.

(usypia snem gorączkowym i niespokojnym)

(budzi się, ale jest w ciągłej gorączce)

Stoję na skraju wysuniętym lądu,
Podemną morze kłębi się bezdenne
I szumi siłą szalonego prądu,
I wciąż faluje szybkie i przemienne,
A pod stopami coraz ląd maleje,
I coraz słabsze to oparcie drżące,
Zapada w przepaść, co niezmierna zieje
I grozi wznosząc w niebo piany wrzące.
Już niema lądu, płynę po przestworzu,
Niezmiernem wody — płynę gdzieś daleko,
Jak gdyby w wieczość po srebrzystem morzu,
Po wartkich toniach, co przeczyste cieką.
Tu śmierć nie schwyci, wprzód zaginie w fali,
Co się rozpieni pod ciężarem wrogim,
A ja ucieknę i w niezmiernej dali,
Spokojna usnę po tym ranku srogim.
Biada! gdzie płynę — oto lądy nowe —
Gdzieżeś mnie wiodła falo tajemnicza,
Tu mnie dosięgnie, schwyci moją głowę
I ręką chciwą wydrze siły życia.
Nad ziemią widzę chmury takie groźne,
Jakby z nich burze, miały spaść ogniste,
Po ziemi krążą mary jakieś mroźne,
I stopą gniotą, kwiaty wonne, czyste.
Ha! jakiś straszny huk podziemny woła,
Głosem co siły wziął piorunnej burzy,
I jakieś drżenie krąży już dokoła
I srogich nieszczęść, ciemną przyszłość wróży.
W ziemi się ognie zbuntowały wieczne
I szarpiąc szatę co je kryje oku,
Walczą ze sobą, biegą wprzód i wstecznie,
I blaskiem dzikim płoną w chmurnym mroku.
Sypiąc iskrami i pocisków gradem,
Gonią jak wichrów rozszalałych prądy —
Przestrach się szerzy na mem licu bladem
I drżę gdy widzę ogni wartkich rządy.
Oto się płomień jeden szybko zbliża.
Leci to kłębem, to jak wąż się zwija,
To się podnosi, to się znowu zniża —
On już tu przy mnie, żarem mnie owija.
Ha już mnie porwał i daleko niesie,
W górną krainę, jasną i przeźroczą,
Gdzie lód nie mrozi i gdzie deszcz nie rosi,
Gdzie się niebieskie światła kręgiem toczą.
Tak mnie unosi, jako blask powietrzny
I tak mną kręci, jak motyla ciałem,
Wiedzie w kraj szczęścia, kraj uciechy wieczny,
W którym już radość tylko mym udziałem.
W wirze szalonym w wirze pełnym ruchu
Lecę wciąż świetne, tworząc w koło ślady —
Lecę za tobą, mój braterski duchu,
Teraz nas żadne nie rozłączą zdrady.
Lećmy daleko, lećmy w dal bez końca,
Tam gdzie się świateł krzyżują tysiące,
Gdzie Feb rozpala wóz promienny słońca
I róże płoną i lilije drżące.
Lecimy razem, w ogniu przez powietrze
Lekkie i jasne, jak Elizyum cienie
Coraz to wyżej w pełnym woni wietrze
W kraje gdzie fijołków nas przywita tchnienie.
Nasz płomień zagasł, zagasł o rozpaczy!
I znikł mi z oczu mój towarzysz drogi.
Znów jestem sama, w duszy żal majaczy,
I wir cierpienia mnie okrąża srogi.
Jakież to blaski, błyszczą tu w około,
Tysiące widzów wzrok wytęża chciwy,
I na mnie patrzą prosto w moje czoło,
Jak gdyby na niem ujrzeć chcieli dziwy.
Nie patrzcie tyle, wzrok wasz mnie zabija,
Czy chcecie zajrzeć mi do wnętrza duszy?
Lepiej nie patrzeć, tam istnieje żmija,
Co krew mą pije i odwagę kruszy.
Jestem niewinną, czegóż więc żądacie —
Więcej powiedzieć wam nie mogę wcale,
Ach! wy głębiny myśli mych nie znacie,
I wam niejasne dziś są moje żale.
Ha! co za widok! tygrys z puszcz Afryki
Wprost leci ku mnie, cały żarem płonie,
Już się przełamał przez dozorców szyki
I we mnie okiem roziskrzonem tonie.
I już chce skoczyć, chwyta już zębami,
Gdy wtem lew groźnie potrząsając grzywą,
Z rykiem wypada, wzroku rzuca skrami
I walczą oba o swą zdobycz żywą.
Ha! odetchnęłam, życie już wisiało
Na cieńkiej przędzy, niechaj walczą zwierze,
Ja ztąd uciekam, ach, jak serce drżało, —
Kiedyż, ach kiedyż spokój mój odzierżę!
Uciekam, lecę — zgroza, wstać nie mogę,
Coś mnie do ziemi jak ciężarem tłoczy,
Coś mnie za rękę trzyma i za nogę
I po mych piersiach twardą stopą kroczy. —
W gibkich podskokach wybiega pantera,
I na mnie wściekłych chce spróbować zębów,
Pazury ostrzy — serce mi zamiera
I trwoga wstaje w pośród boju kłębów.
Już mnie schwyciła, szarpie tak okrótnie,
Za gardło dusi a ja drgnąć nie zdolna,
Ha! jak się pastwi, jak obiega rzutnie,
I jak nad słabą znęca się ta wolna.
Możebym krzykiem spłoszyć ją zdołała,
Może się zlęknie potężnego wzroku —
Ach jestem słaba, jak dziecina mała,
Ciężka powieka zwisła na mem oku!
Pazury wpija — piersi mi rozkrwawia —
Jak cierpię srogo — dusi mnie na nowo,
Przesilnie gniotąc oddech już zadławia —
Ja drgnąć nie mogę, nawet ruszyć głową.

(w obłędzie podnosi rękę z wysiłkiem i kąsa)

Wyrywa rękę i ogryza z ciała,
I tak się pieści łupem swym okrutnie —

(Budzi się wskutek bólu i przychodzi powoli do zupełnej przytomności.)

Obłęd! lecz ręka moja we krwi cała,
Ha! to ja z głodu siebie dręczę smutnie!

(po chwili)

Tak słabą jestem i znużoną srodze!
Już się ostatnie we mnie niszczą siły.
Już i mych cierpień rozszalałe wodze,
W mem nędznem ciele władzę utraciły.
Żeby choć wody, wody choć kropelka,
Bo mi gorączka już przepiekła usta —
Wszak wody kropla, to jest rzecz nie wielka,
A przecież wszelka już nadzieja pusta.
Czuję, że śmierci chwila mnie już wita —
Bóstwa nadziemskie niech wam będą dzięki,
Że wreszcie dla mnie dzień wieczności świta
I że się srogie ukończyły jęki..
Jam nędzna, słaba, przecierpiałam wiele,
Jam dziś spokojna, cicha jak mogiła,
I w tem zgłodzonem, umęczonem ciele
Nikt już nie pozna tej co tu przybyła.
Śmierć mnie zwycięża i zabija żale
I boleść wszelką i cierpienie świata,
I już przeklinać mocy nie mam wcale,
I w każdym witam przyjaciela, brata.
Żal mi za świata jasną szczęśliwością,
Lecz chociaż umrę, umrę już spokojna
I serce żadną się nie skala złością,
Pójdę ztąd cicha i boleścią strojna.
Umieram młoda, cóż mi dziś po życiu,
Mój Gajus mnie by już nie poznał drogi,

Ach, ja nieszczęsną byłam już w powiciu,
Już wtedy dla mnie stanął wyrok wrogi.
O mój Gajusie, może ja zbłądziłam,
Że ślubowawszy raz w Bogini domu,
Kochałam ciebie, tylko ciebie czciłam —
Karę już zniosłam nagłą nakształt gromu.
Marzenia moje, przyjacioły moje,
Żegnam was wszystkich — idę w kraj daleki,
Gdzie błogie płyną mam letejskie zdroje,
Gdzie mam rodziców — żegnam was na wieki!
Bogi! nieszczęsną dzisiaj przyzywacie,
Słucham rozkazu chętna i powolna,
Wiem że radości, jaką tam mi dacie,
Cała mi ziemia dać nie będzie zdolna.
Wierzę ufności pełna i pokoju
Idę w te światy nieznajome — ciemne,
Idę odpocząć po mym krwawym znoju,
W krainy ciche, w państwo dusz podziemne.
O dajcie Bogi, winnej przebaczenie,
Przyjmijcie smutną na Elizyum pola,
Niech łaska wasza uśpi bolu drżenie
I cieniom pokój wasza niech da wola!
(usypiając powoli)
Jakieś widzenie ciche mnie otacza,
I ty Gajusie, ty umarłeś ze mną,
Dusza twa z moją w kraj przyszłości wkracza,
O drogi! razem, idziesz w wieczność ciemną!
Jestem szczęśliwą, znów przy twoim boku,
Zapomnim wkrótce o nieszczęściu świata,
Kara spełniona; — teraz w twojem oku
Ujrzę jak miłość się ze szczęściem brata!
(umiera).
KONIEC.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud*; *Histoire de la Litterature contemporaine chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière*; *Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger*.

(Ciąg dalszy).

Pan A. R., opisując niewolę w państwie i niewolę w gminie, (str. 246—261) popełnia błąd jeden, świadczący, że na rzeczy słowiańskie zapatruje się oczami uczonych moskiewskich. Niewolę odnosi on do pierwotnego patrjarchalizmu słowiańskiego i podaje ją za pierwotną słowiańską zasadę ustroju społecznego. Pomijając to, że we względzie tym spzeciwia się sam sobie, zapominając na stronnicy 254 o tem co poprzednio mówił o wiecach i niesforności słowiańskiej, dość jest zauważyć ten fakt, że podczas kiedy w Moskwie przechowała się w gminach wiejskich własność wspólna, na Rusiach, w Polsce i w Słowiańszczyźnie całej, wytworzyła się własność indywidualna. Różnica ta różni w podstawach świat słowiański od świata moskiewskiego i sprawia to, iż podczas kiedy w Moskwie niewola absolutna zaprowadzić się dała, Słowianie pod panowaniem obcem, takiem nawet jak tureckie, przechować zdołali pierwiastek swobody społecznej.

Przyjąwszy formułę, co do zadania politycznego Moskwy, wedle formuły tej opowiada autor panowania carów jednego po drugim, zaznaczając starannie podobieństwa faktów i sytuacji pomiędzy historją moskiewską a francuską. Do Ludwika XI. aż trzech carów podobnymi czyni: Iwana III, Wasyla Iwanowicza i Iwana IV. Groźnego. Ten ostatni mianowicie, wydaje się mu wielce do poskromiciela szlachty francuskiej podobnym, tłumaczy go też i usprawiedliwia, usiłując rehabilitować pamięć tego współzawodnika Neronów. Michał Romanow jest zdaniem jego Henrykiem IV. moskiewskim. Czasy samozwańców zbywa krótko, zaznacza słuszną do Zygmunta III. pretensję i wyprowadza z takowej nowy zadania politycznego Rossji cel, a to; odwetowania Polsce za udział, jaki wzięła w rozterkach wewnętrznych, których hasło dała śmierć Borysa Godunowa. Panowanie Aleksego Michajłowicza nastręcza mu sposobność mówienia o Rusi, o początku i powodach wojen kozackich. W tych ostatnich słuszność przyznaje kozakom; słuszność ta atoli zmienia się wnet w niesłuszność gdy też same pretensje co do Polski kozacy do Moskwy zwracają. Carowie przyrzeczeń nie dotrzymali dlatego, że dotrzymanie onych przeszkodziłoby ukonsolidowaniu jedności państwowej. Cel wetowania na Polsce krzywd, jakich Moskwa doznała w epoce samozwańców, sprowadza interwencją moskiewską w sprawach kozackich, dzięki której *odzyskuje* Moskwa Smoleńsk, lewy brzeg Dniepru i Kijów.

Nadchodzi epoka Piotra Wielkiego. Za Iwanów już wglądać poczęło do Moskwy odrodzenie *(renaissance)*, zanoszone przez sprowadzanych z Konstantynopola i z Włoch rękodzielników, architektów i uczonych. Slady onego widzieć się dają w Kremlu i w budowlach cerkwi. Piotr W. europeizuje Moskwę, porządkuje ją i gruntuje w niej despotyzm. Nie będziemy powtarzali rzeczy znanych powszechnie, tem bardziej, że w charakterystyce reform Piotra W., napisanej przez pana A. R., nic nie znajdujemy nowego. Zauważymy jeno przy tej okazji, że p. A. R. *dumą*, którą zwoływali od czasu do czasu carowie, a z której Piotr W. zrobił senat, wcale niesłusznie podaje za parlament. Nie bardzo słusznie przyrównywa ją do francuskich *états généraux*; przyrównywanie to jednak tkwi w zamiarze autorskim, który wyjaśnimy później. Co zaś do *dumy* moskiewskiej, o tej powiemy to jeno, że nie posiadała ona zgoła ani cech ani atrybucji parlamentarnych. Carowie zwoływali ją kiedy chcieli, w celu zasięgnięcia rady w razach pewnych. Głos jej był czysto wyłącznie doradczym, skład od woli carskiej zależał; za carów dawniejszych nie miała charakteru urzędowego; Piotr W. nadał charakter ten senatowi — „senatowi rządzącemu" *(prawitielstwujuszczemu)*, który nie trudnił się niczem innem, jeno referowaniem spraw, niekiedy sądzeniem, niekiedy znów interpretowaniem praw i ukazów.

Epoka niewieścich rządów (Katarzyna II., Anna Iwanówna, Anna Leopoldowna i Elżbieta Piotrówna) wystawia władzę absolutną na próbę, z której wychodzi ona z tryumfem. Pałac carski, czyli od Piotra W. „imperatorski", zmienia się w dom najwyuzdańszej rozpusty; kierownictwo spraw dostaje się do rąk faworytów, intrygujących jedni przeciwko drugim i pobierających żołdy i łapowe od dworów zagranicznych. Nie mniej przeto potęga Rossji wzrasta, oparta na niewolnictwie wewnętrznem i wspierana przez słabość przeciwników jej politycznych, Szwecji, Polski i Turcji. Maszyna ustawiona przez Tatarów, urządzona prez Iwanów III. i IV., wydoskonalona przez Piotra W., robi swoje sama przez się i przez zetknięcie się z cywilizowanym zachodem nabiera poloru powierzchownego, który się zaznacza wyraźnie za panowania Elżbiety. Elżbieta „ciągnęła dalej — powiada autor — tradycje wielkiego imperatora; rozwijała pomyślność materjalną kraju, reformowała prawodawstwo, tworzyła nowe centry zaludnienia; dała impuls energiczny naukom i literaturze narodowej; *przygotowała zbliżenie pomiędzy Francją a Rossją od Niemców wyzwoloną; na zewnątrz, zwichnęła groźny polot Prus, pokonała i do rozpaczy przyprowadziła pierwszego wojownika wieku, zwarła pierwszy alians francusko-rosyjski przeciw całkowicie militarnej monarchji Hohenzollernow. Lepiej oceniona przy świetle nowych dokumentów zajmie ona miejsce zaszczytne w historji, nawet pomiędzy Piotrem Wielkim a Katarzyną II*".

Przytoczenie powyższe wypowiada zamiar autorski. Racja dla której *Historja Rossji* napisaną przez pana A. Rambaud i wynagrodzoną przez Akademję została, polega całkowicie na „przygotowaniu zbliżenia pomiędzy Francją a Rossją" w celu „zwichnięcia groźnego polotu Prus." Autor zapisuje skwapliwie przysługi, jakie panujący rossyjscy Francji oddali, lub też oddać bądź chcieli, bądź mogli. Dowiadujemy się, nie bez zadziwienia niejakiego, że wielka rewolucja francuska byłaby może nie dokonała tego, czego dokonała, a przynajmniej w rozwoju swoim miałaby olbrzymie do zwalczania przeszkody, gdyby nie Katarzyna II., która, acz jawnie na rewolucją kamień potępienia ciskała, tajemnie jednak sprzyjała jej, mięszając się umyślnie w sprawy tureckie i polskie i unikając w ten sposób brania udziału w koalicjach przeciwko Francji. Paweł miał wprawdzie w koalicji udział czynny, w końcu jednak byłby z Francją sojusz zawarł, gdyby na przeszkodzie dziełu temu nie stanęła szarfa, co nić żywota jego przecięła. Autor przytacza plan *wielkiego projektu*, który się debatował pomiędzy carem rossyjskim a pierwszym konsulem i miał na celu „wywrócenie z gruntu panowania angielskiego w Indjach." Chodziło o ekspedycją francusko-rossyjską, o zaatakowanie Anglji w Indjach dwiema armjami, z których jedna rossyjska, pod dowództwem Knorwinga, wyruszyć miała lądem z Orenburga i pójść przez Chiwę i Bucharę, druga rossyjsko-francuska, pod wodzą Masseny, zaambarkować się w Astrachanie i przez morze Kaspijskie, następnie przez Persją ciągnąć nad brzegi Indu. Ten bardzo niedorzeczny projekt miał się Napoleonowi I. bardzo podobać.

Aleksander I. odstąpił od polityki ojcowskiej, pokonał Napoleona I., wszedł jako zwycięzca do Paryża, mimo to sprzyjał Francji i nie dopuścił tego (1818). ażeby ją sprzymierzeni doprowadzili do ostatecznego osłabienia i poniżenia.

Mikołaj I. „Agamemnon królów." „don Kiszot reakcji", żywił względem Francji niechęć, która dwa miała powody: rewolucję lipcową, obalającą legitymizm monarchiczny i sympatje, jakie Francja manifestowała dla sprawy polskiej. Niechęć tę spotęgowało ogłoszenie rzeczypospolitej w 1848; wszakże złagodniała ona, gdy Napoleon III. poskromił rewolucją w Rzymie i rozwijać począł czynność w duchu reakcyjnym. Dobre pomiędzy Francją a Rossją porozumienie wykluwało się powoli i byłoby się wykluło, gdyby nie fatalna dla Rossji wojna wschodnia (1853), która cofnęła ją z drogi, wytknięlej przez Piotra W. i Katarzynę W. Obrót, jaki wojna ta wzięła, zawdzięczać ma Rossja — zdaniem autora — głównie Anglji.

A jak Rossja odpokutowała za niechęć Mikołajowską względem Francji, tak Francja odpokutowała za dwie interwencje, jedną orężną sewastopolską, drugą dyplomatyczną, w czasie powstania polskiego (1863). Aleksander II. odwetował Francji w latach 1870 i 71; powściągnął

Austrją, która gotową była Prusy atakować, zneutralizował Włochy i nie dopuścił interwencji europejskiej w układaniu traktatu pokoju we Frankfurcie. Konkluzja ztąd wynika sama przez się: Moskwa jest Francji aliantką naturalną, którą oszczędzać należy. Oszczędzanie nie przyjdzie Francji z trudnością, albowiem Aleksander II na nową państwo wprowadził drogę, na drogę postępu liberalnego. Czyż nie jest on wyswobodzicielem ludu wiejskiego?

„Rosja — kończy pan A. Rambaud — naszkicowana przez Ruryka, rozprószona po Jarosławie Wielkim, zgromadzona przez dynastją Iwanów, zeuropeizowana przez Piotra W. i Katarzynę W., wyzwolona z niewolnictwa przez Aleksandra II., wchodzi obecnie w nową historji swojej fazę.... Wewnątrz droga nowa otwartą dla niej została dzięki reformom cywilizacyjnym wieku XVIII, reformom emancypacyjnym panowania obecnego. Zdobywszy miejsce swoje wśród państw europejskich, powinna zapewnić sobie stanowisko wśród narodów wolnych. Jest we względzie tym tradycja (?), której warto się trzymać. Oby-ż Rossja, w liberalnej tradycji swojej, rozwinąć mogła więcej konsekwentności, wytrwałości, roztropności, aniżeli w tradycji dyplomatycznej! Opowiadaliśmy głównie historją państwa rosyjsskiego: historja ludu rossyjskiego zaczyna się. Z państwem rossyjskiem Francja często była w zatargu; sympatje jej dla Rossji wzrastają od czasu, jak odnajduje w niej naród."

(C. d. n).

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXIV.

Pomysł.

Pomysł! — wykrzyknął był Gioachino, potem wszedł lokaj meldując odwiedziny obu przybyłych panów, po nim zjawił się pan Savino a potem odszedł, „pomysł" jednak pozostał.

— Pomysł! — Gioachino szedł z Romolem i panią Tranquilliną naprzeciw doktora Rocco, który w zamyśleniu jak ktoś któremu się zdaje, że popełnił głupstwo chodził tam i napowrót po dziedzińcu.

— Pomysł! — zawołał Gioachino gdy dojrzał doktora — Federico jest zrujnowany ale co to szkodzi? Kocha Gabriellę, Gabriella kocha go również, jak się zdaje — pożeńmy ich oboje!

— Co pan gadasz? — mruknął doktor; — tego brakłoby mi jeszcze, żebym córkę wydawał za mąż za żebraka! Gdzież rozum?

Nic nie powiedział więcej, bo nie miał ochoty tłómaczenia się.

Gioachino był wprawdzie nieco zmięszany, odrzucił przecież rezolutnie w tył głowę i rzekł:

— Tu nie ma innego wyjścia: jeśli pan kochasz córkę, nie powinieneś czynić ją nieszczęśliwą.

— Oho! A któż to chciał inżyniera Eneę? Może ja? Czyż nie dobrowolnie go przyjęła? Chciała go i niech go sobie zatrzyma... będzie z nim szczęśliwa. A ja nie jestem bogaty; bóg w swoim niezmierzonem miłosierdziu udarował mnie podagrą, katarem chronicznym, i sporą dozą reumatyzmu; miljonika natomiast, połówkę lub ćwierć miljonka, który córka moja miećby musiała aby sobie pozwolić przyjemności zaślubienia żebraka, tej mi nie był tak dobrym udzielić. W nieskończonej swej mądrości prawdopodobnie ma bóg słuszne powody, których ja głupi osioł nie rozumiem; może chciał na mnie oszczędzić to, co innemu dał do zbytku.

— Słuchajno, doktorze — rzekł Gioachino — my, to jest mój przyjaciel Romolo i ja, nie mamy dzieci i prawdopodobnie nigdy mieć ich nie będziemy, nie jesteśmy bogaci ale nie jesteśmy też i głodomory, słowem, połowa naszego majątku ma z czasem przypaść Federicowi, i na początek zaraz mamy zamiar odkupić od niego tę posiadłość nie za cenę szacunku ale za to co ona rzeczywiście jest wartą.

— Nie! — przerwał Romolo — bo wówczas zaryzykowalibyśmy, że Federico popłaciłby pieniędzmi temi długi a potem odebrał sobie życie.

— Masz słuszność — odpowiedział Gioachino — trzeba więc tak zrobić: pieniądz ten przeznaczyć Gabrielli na posag pod warunkiem, że wyjdzie za Federica.

— Doskonały pomysł! — zawołał Romolo.

Pani Tranquillina zachowywała się milcząco ale bynajmniej nie była niezadowoloną; doktor Rocco natomiast dziwnie był rozstrojony jak człowiek dręczony wyrzutami sumienia, bo przykro mu było, że wyznaniem swojem zakłócić musi ogólną radość.

— I cóż? — nacierali nań przyjaciele, cóż? — co pan mówisz na to?

— Co ja na to mówię? — odpowiedział doktor — że to już za późno, że już nie można!

— Co? Czemu? Powiedzże pan.

— Czemu i dla czego to wam powiem zaraz. Gdym zobaczył przybyłego inżyniera, pomyślałem sobie: W sam czas właśnie los mi go zsyła, jeden mnie minął, ten mi nie ujdzie przynajmniej; przytrzymałem go więc na schodach, przyprowadziłem tu i powiedziałem, że Gabriella zdecydowała się wyjść za niego za mąż.

— Ah! coś pan zrobił!

— Jeszcze coś gorszego zrobiłem! Toż ten poczciwiec lata teraz jak oparzony; nie dość mu było jeszcze tego, że Gabriella wychodzi za niego, zachciało mu się koniecznie wiedzieć, czy go kocha rzeczywiście; a ja mu powiedziałem, że należy sądzić, iż go uwielbia, że przecież zaprzysiądz tego nie mogę.

— A on?

— On natychmiast biegnie na górę aby się o tem upewnić — cicho, idzie Gabriella.

Znać było po niej, że płakała i nie mogła utaić swego wzruszenia.

— Mateczko! — szepnęła przechodząc i spiesznie biegła na dziedziniec na śnieg i zimno.

Tranquillina pobiegła za nią i sprowadziła napowrót do domu.

— Moje dziecko! — rzekła łagodnym swym głosem a dwa te słowa wystarczyły do ułagodzenia dziecięcej tej duszy.

— Czy inżynier mówił z tobą? — spytała matka.

— Tak, porozumieliśmy się; zostaję jego żoną.

I błagalnie wzniesła oczy ku słońcu, które jakby na ukojenie jej boleści wyjrzało z po za chmur osłony.

— Tyś smutna, dziecko moje — ozwała się Tranquillina po krótkiem milczeniu wzruszonym głosem.

— Jużem się rozliczyła ze wszystkiem, mateczko, chciałabym tylko...

— Czego, moje dziecko?

— Chciałabym, żeby on wiedział...

— Cóż?

— Żeby on... wszystko... wiedział, dla tego by i nadal mógł mnie szanować.

Obie zamilkły na chwilę.

— Będzie wiedział wszystko — rzekła po chwili Tranquillina.

— Wszystko nie, mateczko! — zawołała drżąc Gabriella—o nie mów mu, że ja go kocham!

Potem zbolałą głowę schyliła na piersi najwierniejszej swej przyjaciółki.

ROZDZIAŁ XXV.

W którym Romolo i Gioachino dopomagają doktorowi przy puszczaniu krwi.

Po raz pierwszy odkąd Gioachino sumiennie spełniał rolę ofiary doktora — czyli jak tenże mawiał: jego prawego ramienia — odważył się spojrzeć śmiało w twarz ojcu Gabrielli i oświadczyć mu bez ogródki, że wielkie popełnił głupstwo.

Romolo potwierdził to bez wahania, a doktor daleki od tego, by się gniewać za tak śmiałe orzeczenie — zdał się sam dzielić mniemanie swych przyjaciół.

— Jeśliby jednak inżynier zrzekł się? — zauważył nieśmiało Romolo.

— W takim razie uważałbym go za wielkiego głupca, choćbym go za to na kolanach wielbił — odpowiedział Gioachino.

Zastanawiali się nad tem; niemożliwem było zupełnie, by Enea tak bez wszystkiego wyrzekł się takim trudem wywalczonej żony; tego ranka jeszcze zrobił odkrycie, że ręka Gabrielli, ta ręka, którą odtąd mógł już za swą wyłączną uważać własność i której miał wszelkie prawo z bliska się przyglądać, była maleńką, delikatną, wąską rączką z różowemi koniuszkami palców. I lękać się należało co chwila, że wpadnie do starych z rozpromienionem radością obliczem, by im powiedzieć jakie nowe nieocenione odkrycie zrobił znów w matce swych dzieci.

Federico pod wybornym pozorem zaznajomienia go z swem muzeum, przez cały dzień ani na krok go nie odstępował; w jakim celu jednak u stołu wyznaczył mu miejsce najoddalensze od Gabrielli?...

A przecież nie cofnął się przed tem bezpotrzebnem okrucieństwem.

Jakże zaś zachowywał się Federico?

Był spokojny i swobodny; zdołał nawet śmiać się, chwilami tylko zdawał się roztargniony. Obaj starzy nie spuszczali zeń oka i zauważyli, że unikał systematycznie wzroku Gabrielli i starał się inżynierowi dostarczać wciąż materjału do osobliwszych skoków fantazji, które on zwał swemi teorjami.

Podczas obiadu inżynier i Federico szli o lepsze w wyłącznem podtrzymywaniu rozmowy; inni nie mówili i słowa, wskutek czego dość naprężone było usposobienie.

Podczas deseru doktor skarżył się, że jest niezdrów i przeprosiwszy towarzystwo udał się do swego pokoju; Gabriella i Tranquillina wyszły z nim razem.

*

Teraz więc dla Gioachina i Romola nadeszła właściwie chwila rozdzielenia obu konkurentów, a następnie wykazania inżynierowi, że powinien dla dobra kochanej zrzec się nowo nabytych praw dobrowolnie.

W tej samej jednak chwili podniósł się inżynier, Federico go wyprzedził jeszcze a potem ręka w rękę wyszli z sali.

Romolo i Gioachino podążyli za nimi.

Mamy jeszcze całą niemal godzinę dziennego światła — rzekł Federico; chciałem pokazać ci wykopaliska.

— Dobrze, chodźmyż zobaczyć te wykopaliska — odpowiedział inżynier tak uprzejmie i wesoło jak tylko *szczęśliwemu* inżynierowi to było możebnem; pójdźmy obejrzeć wykopaliska.

Po za tą uprzejmością kryło się nieco egoizmu; Enea mianowicie zajął był pokój w jedynej porządnej oberży w Puziano, nie miał wszakże najmniejszej ochoty wprowadzenia się doń, a Federico dotąd nie prosił go, by w jego willi pozostał.

Przyszli do pierwszego dołu. Inżynier, by zadokumentować swój zapał zszedł odważnie aż na samo dno, wyjął kilka kamyków i rzucił je, potem podniósł coś, czemu w słabem świetle zmroku ze wszech stron począł się przyglądać.

— Torf — rzekł nieco uroczyście — stary, żywiczny torf!

Potem przeszli do drugiego i trzeciego dołu i przy każdej z nich inżynier Enea wymawiał też same uroczyste i tajemnicze słowa: „Torf, stary, żywiczny torf!“

— Przepraszam cię, póki mówisz o starym torfie, może cię każdy porządny człowiek zrozumieć — rzekł Gioachino — ale ten „żywiczny“ jest nie do zniesienia.

Inżynier nic nie odpowiedział, włożył tylko torf do kieszeni.

— Co ty z tem myślisz zrobić? — spytał Federico.

— Analizę chemiczną! Potrzebne kwasy masz pewnie przecież w domu.

Umilkł, by Federicowi dać czas do powzięcia wielce prostej myśli, że przecież Federico nie domyślał się niczego, zebrał się na odwagę i rzekł:

— Jeśli masz zbyteczne łóżko w domu, mógłbym zamiast wracać do Medjolanu, tu zanocować a jutro zrobić analizę — w ogóle trzeba mi obejrzeć twoją posiadłość, z powodu owego projektu, o którym ci poprzednio mówiłem. Czy masz co przeciw temu?

Federico odpowiedział, że nie ma zupełnie nic przeciw temu.

Powrócili razem do domu i zaledwie tam weszli, dowiedzieli się, że doktor Rocco dostał napadu podagry, i że prosi Gioachina i Romola do siebie.

— Co ma znaczyć ta komedja? — odezwał się Gioachino do Romola, poczciwiec tak zabrnął, że nie może teraz ani w prawo ani w lewo! Cóż tam znowu zamyśla zrobić swą podagrą?...

Skoro tylko weszli do pokoju doktora, Tranquillina się oddaliła; a kiedy pozostali sami Gioachino począł śmiać się, ale okropne spojrzenie doktora powstrzymało mu śmiech na ustach.

— Na honor — rzekł Gioachino i spojrzał w górę, celem zaczerpnięcia odwagi — na honor nie sposób nam odgadnąć... nie pojmuję na co... nie pojmujemy po co...

Dla dodania sobie odwagi z liczby pojedyńczej przeszedł w mnogą i mimo to jednak nie mógł jakoś przyjść do końca.

Teraz podjął Romolo:

— Gioachino chce powiedzieć, że nie pojmuje a i ja nie pojmuję do czego ma służyć ta podagra, skoro rzeczy tak daleko już zaszły.

— Rzeczywiście! — mruknął doktor z trudnością, jakby mu język wypowiedział posłuszeństwo.

— I ja tego nie pojmuję — na honor, i ja nie.

— Ależ to nie podagra; powiedziałem tak żonie i córce, żeby się nie wylękły... prędzej, zamknijcie drzwi, podajcie mi czemprędzej miednicę, prędzej!

Doktor Rocco wydawał rozkazy szybkim, urywanym głosem, nie mogło być mowy o oporze.

— Czekajcie, no Ty, panie Romolo poszukaj tam w kieszeni mego podróżnego płaszcza, musi tam być pugilares z chirurgicznemi instrumentami i bandaż... masz go?... brawo, dajże to tutaj.. i poświeć!

Potem z trudnością podniósł się o ile mógł w górę, wyciągnął prawą rękę nad miednicą i otworzył sobie spokojnie żyłę.

Krew trysnęła obficie; doktor westchnął głęboko, przymknął oczy i padł bezwładnie na poduszki.

— Doktorze Rocco! — zawołał Gioachino strwożony.

— Cicho — odpowiedział doktor słabym głosem — teraz mi lepiej.

Nikt ani słówkiem, się nieodezwał, cisza panowała zupełna; krew płynęła ciągle; nakoniec doktor poruszył ustami jakby chciał mówić.

— Dosyć? — spytał spiesznie Romolo.

Chory skinął potakująco.

Gioachino natychmiast przycisnął palcem żyłę, Romolo poszukał kompresu, a że go nie było zaraz pod ręką, podarł zębami własną chustkę; tak udało im się obandażować zręcznie, bezwładne ramię doktora.

— Więc to nie było udanie! — szepnął Gioachino.

— Zdaje się, że nie — odpowiedział z cicha Romolo.

— *Zdaje się?* — przerwał doktor Rocco — bądźcie tak dobrzy i nie trwożcie mi żony i córki; powiedzcie, że to był napad podagry.

— A cóż to było?

Doktor otworzył oczy, popatrzał w ich wybladłe twarze i rzekł:

— Apopleksja!

— Zaledwie jednak spostrzegł jakie wrażenie zrobiły te słowa na obu przyjaciołach, pożałował swej szczerości i próbował ich uspokoić.

— E, to nic, to tylko osłabienie; ale cóż to was może obchodzić, moi panowie? Idźcie, pozostawcie mnie teraz w spokoju a do jutra będę już zdrowym.

Tymczasem noc zapadła, a że na dworze było zimno, Enea i Federico weszli do parterowego saloniku i czekali na zgromadzenie się reszty towarzystwa.

Nakoniec przyszli Romolo i Gioachino, oznajmiając z udanym spokojem, że doktora Rocco trapi podagra, poczem powrócili znów na górę; później nieco zeszła Tranquillina ale i ona wprędce poszła na górę; — tylko Gabriella się nie ukazała.

Wtedy przyszło na myśl Federicowi, że dotąd nie zaprowadził był przyjaciela do przeznaczonej mu sypialni. I poszedł z nim do małego pokoiku na końcu kurytarza, ładnego cichego pokoiku.

Enea cały zasób przenikliwości wysilał na wynalezienie pokoju swej narzeczonej, ale Federico nie miał litości dla niego i nie chciał powiedzieć dopóki go wprost nie zapytano:

— Czy Gabriella wie gdzie spać będę?

— Nie wie nawet, żeś na noc został tu w domu.

— Szkoda! — rzekł Enea naiwnie. — Tak, tak, śmiej się ty, nie wiesz jeszcze co to miłość.

Późno już było, pożegnali się obaj, każdy mówił, że trzeba się położyć; później wszakże spotkali się raz jeszcze w ogrodzie, do którego zagnała ich potrzeba świeżego powietrza.

Jedno okno na pierwszem piętrze jasno było oświecone. (C. d. n.)

STRONNICTWA POLITYCZNE W POLSCE
ZA ZYGMUNTA I.

Odpowiedź na poglądy w tej sprawie Prof. Liskego (Przegląd Pols. Czerwiec, 1879).

(Dokończenie).

Podobnież rzecz się ma z drugą partją wrzekomą, którą Prof. Liske uważa za stronnictwo francuskie. Wprawdzie w Polsce ówczesnej nie brakłoby ku temu żywiołów. Arcybiskup Łaski odznaczał się stałym antagonizmem względem dworu wiedeńskiego i posiadał wszelkie przymioty na głowę stronictwa. Szlachta polska nierównie więcej miała sympatji do Francji niż do Habsburgów. Wreszcie od r. 1527 gromadził się na dworze polskim, obok Jadwigi córki Zygmunta i Barbary Zapolskiej, cały szereg osobistości, szczerze przychylnych dla króla Jana a stanowczo nieprzyjaznych domowi rakuskiemu. Ale z tego wszystkiego wcale jeszcze nie wynika istnienie jakiegoś stronnictwa politycznego w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż na to potrzeba było połączenia tych żywiołów w jeden zastęp, dążący do wspólnych jasno określonych celów i wytknięcia im jednolitego planu działania, czego nigdzie najmniejszych nie znajdujemy śladów*). Co więcej w postępowaniu arcybiskupa wcale nie widzimy owych usiłowań, zmierzających do sojuszu Polski z Franciszkiem I., owej nieustannej pracy — jak powiada P. L. — „do wciągnięcia Francji do spraw polskich i węgierskich (str. 368)“. Wszak rokowania z dyplomacją francuską aż do zawarcia układów z r. 1524 prowadzili Szydłowiecki i Tomicki, a Hieronim Łaski jeździł do Francji tylko jako wykonawca poleceń kancelarji królewskiej. Gdyby arcybiskup rzeczywiście tak wielką w tej sprawie rozwijał czynność, to jakieś przynajmniej pozostałyby pod tym względem wskazówki, zwłaszcza w obfitej z tych czasów korespondencji zebranej w Tomicjanach. Ponieważ zaś nawet żadnej nie znajdujemy wzmianki o udziale prymasa w tych roko-

*) Prof. Liske uważa Jana Tarnowskiego za jednego z przewódców partji francuskiej, zapewne z tego powodu, że król Jan, zmuszony do ustąpienia z Węgier, znalazł u niego gościnne przyjęcie. Mimo to zostawał hetman w bardzo bliskich stosunkach z dworem wiedeńskim, jak to poświadcza Orzechowski (Żywot i śmierć J. Tarnowskiego etc. str. 96) jako też jego korespondencja z Ferdynandem (Przeździecki, Jagiellonki t. V. str. VII-XII), w której na szczególną uwagę zasługuje list Tarnowskiego z uniewinnieniem swojego postępowania wobec Zapolyi (tamże, Dodatki, str. 8).

waniach, tem mniej zatem można twierdzić, że arcybiskup był ich „główną sprężyną,“ że jego zabiegi były właściwym powodem ówczesnego zwrotu ku przymierzu z Francją a przeciw Habsburgom.

Natomiast nie ulega wątpliwości, iż zręczna i ruchliwa dyplomacja francuska wcale nie potrzebowała wskazówek arcybiskupa, aby zwrócić swą uwagę na państwa wschodnie, a mianowicie Polskę i Węgry. Od. r. 1519 przy pomocy posłów weneckich nader usilne czyniono zabiegi, aby obydwa te państwa pozyskać dla projektowanej wówczas koalicji przeciw domowi rakuskiemu. Udział zaś Francji w sprawach węgierskich po śmierci Ludwika powszechnie jest znany. Trudno zatem przypuścić, żeby prymas jakieś szczególne pod tym względem podejmował usiłowania, skoro i bez tego dyplomacja francuska gorliwą w tej sprawie rozwijała czynność.

Tak więc ani arcybiskup nie odznaczał się stałą w tym kierunku dążnością, ani też owe żywioły, niechętne domowi rakuskiemu, nie tworzyły oddzielnego stronnictwa. Skoro zaś nie było tego rodzaju partyj politycznych, to i powody niechęci między Tomickim i Łaskim nie mogły z takiego pochodzić źródła, lecz — mojem zdaniem przynajmniej — wypływały z pobudek osobistych. Nie „chodziło tu więc o wyższe cele“, nie było „gry na wielką skalę (str. 367)“, nie walczono o nadanie „nowego zwrotu polityce europejskiej“ (str. 368). Przeciwnie, była to rzecz całkiem zwykła, a niestety dotąd tak często powtarzająca się, iż między ludźmi, obdarzonymi ambicją i drażliwością osobistą, nawet z bardzo drobnych przyczyn nader łatwo powstaje antagonizm, który ich dzieli przez całe życie i niejednokrotnie doprowadza do zdumiewających objawów nieprzyjaźni i zawziętości. Tego rodzaju czynniki działały także w owej walce między Tomickim i Łaskim, źródłem owej niechęci były więc pobudki osobiste, a nie „powody czysto polityczne“ (str. 362).

Jak w ogóle takie tłómaczenie antagonizmu między prymasem i podkanclerzym jest mylne, tak i na tej podstawie oparte przedstawienie jego poszczególnych objawów również musi być błędnem. Przypatrzmy się tylko kilku ważniejszym pod tym względem wypadkom.

Zdaniem Prof. Liskego Tomicki popchnął Zygmunta w r. 1514 do „zgody“ z domem rakuskim. Za to miał ściągnąć na siebie „nienawiść“ Łaskiego, objawiającą się przedewszystkiem w zabiegach prymasa, aby papież odebrał Tomickiemu kanonją i kantorją gnieźnieńską i nadał obydwie te godności znanemu historykowi Wapowskiemu (str. 363). Pomijam tu kwestję udziału podkanclerzego w ówczesnej zmianie polityki polskiej, której skutkiem był kongres wiedeński z r. 1515. Nawiasem tylko wspomnę, że nierównie ważniejsze powody, niż życzenia jednego z doradców królewskich, skłoniły Zygmunta do pojednania się z cesarzem, a mianowicie potężna koalicja przeciw Polsce utworzona przez Glińskiego i Maksymiljana, dwukrotny upadek reformy wojskowo-skarbowej i utrata Smoleńska. Ale gdyby nawet rzeczywiście Tomicki był sprawą ówczesnego zwrotu do zgody z dworem wiedeńskim, to i w takim wypadku nie mogło to wywołać owych zabiegów prymasa, o czem najlepiej przekonywa samo porównanie dat obydwóch tych wypadków.

Arcybiskup podejmował swoje starania na korzyść Wapowskiego z początkiem r. 1514[1]), zwrot zaś w umyśle Zygmunta do pojednania z cesarzem nastąpił dopiero po upadku Smoleńska tj. w Sierpniu t. r. — jak to całkiem słusznie podnosi sam P. L. w swej monografji o kongresie wiedeńskim[2]). Wiadomość o tem mogła dojść do Rzymu, gdzie właśnie wówczas przebywał Łaski, dopiero w parę miesięcy później, czyli w pół roku po owych zabiegach prymasa, które więc nie mogły powstać z „nienawiści“ do Tomickiego, wskutek antagonizmu z powodów politycznych.

Również mylnie tłómaczy Prof. Liske propozycje, czynione przez arcybiskupa podkanclerzemu w sprawie koadjutorji gnieźnieńskiej. Szan. autor mniema, że przyjęcie jej pozbawiłoby Tomickiego jego wpływowego stanowiska u dworu. Przypuszczenie to wydaje się bardzo nieprawdopodobnem, gdyż sam Łaski przecież łączył przez czas dłuższy (1507—1510) obowiązki kanclerza i koadjutora tegoż arcybiskupstwa, a mimo to właśnie w owych latach bardzo wiele zajmował się sprawami publicznemi[3]). Ale gdyby nawet tak było w istocie, to już sam czas (1520—1525), w którym prymas występował z tego rodzaju projektami[4]), wyklucza wszelkie powody, wypływające z antagonizmu politycznego, gdyż działo się to właśnie w okresie owych rokowań z dworem francuskim, w owych latach zatem, kiedy Tomicki i Łaski najzupełniej zgadzali się w kwestjach polityki zagranicznej. Jeżeli zaś nieprzyjaźń między prymasem i podkanclerzym właśnie wówczas — jak powiada P. L. — „doszła do punktu kulminacyjnego“ (str. 366), to jest to najlepszym dowodem, że nie działały tu przyczyny polityczne, lecz czynniki zupełnie odmiennego rodzaju, powody nie mające żadnego związku z stosunkami politycznymi.

W najbardziej jednak rażącej sprzeczności z rzeczywistym stanem rzeczy zostaje przedstawienie pobudek, jakie zdaniem Prof. Liskego skłoniły Łaskich do oddania swych usług Zapolyi. Szan. autor powiada, że arcybiskup popierał króla Jana dla nadania „nowego zwrotu polityce europejskiej i usunięcia od Polski niebezpieczeństwa, grożącego jej od wpływu rakuskiego (str. 368)“. Byłyby to więc pobudki bardzo szlachetne i prawdziwie polityczne. Ale czy tak było w istocie?

Główną rolę w tej sprawie odegrał synowiec arcybiskupa Hieronim, który, obok niezaprzeczonych zalet znakomitego dyplomaty i dzielnego wojownika, posiadał do najwyższego stopnia rozwiniętą wadę samochwalstwa. Wada ta była tak wybitnym rysem w jego charakterze, iż można by na poparcie tego twierdzenia przytoczyć cały szereg świadectw i dowodów. Ograniczę się jednak na podaniu dwóch przykładów, współczesnych wypadkom, o których mówimy.

W r. 1528, podczas swojego pobytu w Konstantynopolu, ułożył wojewoda projekt rozejmu między Polską a Turcją, w którym Zygmunt miał się zobowiązać do udzielenia pomocy Zapolyi w walce z Ferdynandem. Było to intrygą króla Jana w celu skompromitowania Polski

[1]) Najpóźniej z końcem Marca t. r. (Acta Tomic. t. III. str. 75. i n.).

[2]) Studja z dziejów wieku X . I, str. 29.

[3]) H. Zeissberg, Joh. Łaski u. sein Testament, str. 17 19.

[4]) Tamże, str. 57-70.

wobec dworu wiedeńskiego [1]). Co więcej układ, na takich warunkach zawarty, wcale byłby niekorzystny dla Zygmunta, gdyż naraziłby go na wojnę z potężnym domem rakuskim, z której tylko jedne Węgry mogłyby ważniejsze odnieść korzyści. Mimo to chełpił się Hieronim, że wielką przez to królowi oddał przysługę i mawiał: „Gdyby coś podobnego Tomicki uczynił, z pewnością w całem Królestwie śpiewanoby „Te Deum laudamus“ [2]). W liście do Zygmunta również stara się wojewoda wysoko podnieść usługi swoje w tej sprawie oddane [3]), a wobec szlachty nie wahał się nawet przechwalać się, że „nierównie lepiej przez to zasłużył się około sprawy publicznej, niż wszyscy inni polscy posłowie“[4]).

Podobnie przesadnem samochwalstwem odznacza się nader liczna korespondencja Łaskiego z czasu układów pokojowych między Zapolyą a Ferdynandem w r. 1530 i latach następnych. Prawie w każdym z swych listów ówczesnych zapewnia wojewoda, że wszelkie swe trudy i zabiegi, czynione z polecenia króla Jana, podejmuje tylko dla dobra chrześciaństwa, z poświęcenia dla sprawy ogólnego pokoju europejskiego!

Zdaje mi się, że to wystarczy dla dostatecznego scharakteryzowania pod tym względem Hieronima. Człowiek tego rodzaju, gdyby rzeczywiście dla jakichś wyższych celów politycznych działał w interesie Zapolyi, czy nie byłby się o tem rozpisywał w swych listach, czy nie głosiłby całemu światu o wielkości swych planów, swem poświęceniu, doniosłości politycznej swych usiłowań?...

Właściwy przebieg rzeczy był oczywiście zupełnie odmienny, niż się domyśla Szan. autor, skoro Łaski nie tylko o czemś podobnem nigdzie nie wspomina, ale nadto inny podaje powód oddania swych usług Zapolyi. Oto, co pisze w liście do hetmana Tarnowskiego, z dnia 18 Października 1527 r:

„Zdziwi się zapewne Wasza Miłość, iż wszystko to czynię, mając małżonkę, godność senatorską i dość znaczny majątek, że opuszczam żonę, mojego pana przyrodzonego, ojczyznę i przyjaciół, szczególniej zaś teraz, gdy coraz częściej obiegają wieści, że panowanie mojego nowego władcy chyli się do upadku. Zaiste nie pragnę nagród, nie wyrzekłem się miłości dla mej najsłodszej małżonki, nie mam niechęci do naszego monarchy, nie zapomniałem o moich przyjaciołach; przeciwnie wszystkich ich kocham nierównie bardziej, niż mógłbym to wyrazić, ale wszystkie te uczucia zwyciężyła cnota i dobroć tego najlepszego z królów, tak iż oddanego mu zupełnie, nie wiem, dokąd mię losy zawiodą“[5]).

Takim to nienaturalnym sentymentalizmem usiłuje Hieronim wytłómaczyć swój udział w sprawie Zapolyi, ale co najważniejsza, że w ten sposób pisał do Jana Tarnowskiego, z którym go bardzo bliskie łączyły stosunki. Hetman był nadto zdaniem Prof. Liskego jednym z przewódców partji francuskiej, w zwierzeniach tych mógł zatem wojewoda zupełnie być szczerym i wcale nie ukrywać swych planów. Ale jeżeli mimo to

[1]) Wynika to z późniejszej legacji Zapolyi do Zygmunta, w której król węgierski przyznaje, iż Łaski uczynił to z jego polecenia (Acta Tomic. Kod. Sap t. VII k. 13a).

[2]) Acta Tomic. Kod. Sap. t. VII k. 300 a.

[3]) Tamże, k. 160a—161b.

[4]) W liście do Sebastjana Branickiego. (Arch. cen. wied. Hungarica 1528, pod dniem 21 Stycznia t. r.)

[5]) Acta Tomic. T. IX. str. 318.

tylko taki podaje powód swych usiłowań ówczesnych, to oczywiście nie było nawet cienia owych szlachetnych pobudek, przypisywanych Łaskim przez Szan. autora. Natomiast postępowanie ich w ogóle, a szczególniej całe życie Hieronima, świadczy aż nadto wymownie, że ich myślą przewodnią było wyniesienie własnej rodziny, zaspokojenie ambicji, żądza sławy, bogactw i dostojeństw. Nie przyświecała im żadna idea polityczna, nie „poświęcali się“ dla obalenia potęgi domu rakuskiego (str. 368), lecz wszelkie ich zabiegi wypływały z pobudek osobistych, lub chęci zadowolenia dumy i ambicji rodowej. Łascy nie zmierzali więc do jakichś wyższych celów, któreby u przeciwników wywoływały antagonizm polityczny, lecz byli prototypem tych później niestety tak licznych magnatów naszych, którzy mając swoję oddzielną politykę, przedewszystkiem dążyli do wyniesienia swojego rodu, bez względu na sprawę publiczną, a częstokroć nawet ze szkodą Rzeczypospolitej.

Dr. Al. Hirschberg.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Zapowiedziany festyn maskaradowy w strzeleckim ogrodzie z różnemi dotąd niewidzianemi różnościami, odbył się w zeszłą sobotę chyba dla tego, aby pokazać kompletne fiasko tego rodzaju uroczystości. Ogród był pusty, słońce elektryczne, zamieniło się w gazowe, a kilka sztuk wałęsających się po krzakach indywiduów w ubraniu krakowianek i kominiarzy, widocznie żenowało zbyt jasne oświetlenie ogrodu. Bufet szanownego restauratora do tego stopnia był zdekoncertowany, że gdy jakiś przypadkowy turysta zażądał kotletów — zrazu patrzano na niego jak na dziwoląga, potem niedowierzano czy sobie nie żartuje — a gdy i to nie odstraszyło go od żądania kotletów — nie dano mu ich w tem przekonaniu, że on nie wzbudza zaufania co do wypłaty należytości ..

Dobrze zrobił, że niejadł, albowiem od czasu odkrycia kolosalnych falsyfikatów w artykułach pożywczych przez berlińską komisję zdrowia — niczem są uchybienia pana Underki i tego fabrykanta soku malinowego, którym częstują nas szanowne damy zasiadające w budkach z sodową wodą. Pan Underka przynajmniej dawał mięso do kiełbas, mniejsza o to czy wieprzów ginących naturalną lub sztuczną śmiercią, tymczasem w Berlinie przy rewizji wędlin na 700 okazów, nie znaleziono ani jednej prawdziwej. Strach bierze człowieka, kiedy czyta owe sprawozdania urzędowe i przekonywa się, że jest karmiony fałszywemi bułkami, fałszywym nabiałem, mięsem, czekoladą, jajami; — pije fałszywe piwo bawarskie w samej Bawarji, fałszywe wino nad Renem — słowem wszędzie gdzie tylko ludzie ruszają ustami — mielą w nich same falsyfikaty.

My starsi ludzie, którzyśmy żyli jeszcze w czasach zastoju przemysłowego, zdaje się że mamy w swoich osobach coś prawdziwego, przynajmniej w tysiącznej cząsteczce. Lecz wystawmy sobie co się dzieje i dziać będzie z naszemi dziećmi wykarmionemi fałszem fizycznym. Wiadomo już z historji Bukle'a, o ile pokarm wpływa na charakter i stopień inteligencji narodowej; czegoż to więc spodziewać się można od ludzi wyhodowanych na fałszywych potrawach? Przy dalszym rozwoju tej industrji, przyjdzie nieraz człowiekowi chęć pomacać samego siebie, czy on rzeczywiście jest on, czy tylko falsyfikat na kształt olejnego druku samego siebie. I powrócą czasy sceptycyzmu greckiego, że wszystko uważać będziemy za ułudę zmysłów, a szukać prawdy tylko na wsi u obywateli ziemskich, gdzie jeszcze będzie można ssać prawdziwe mleko wprost z prawdziwych wymion krów pachtowych. Ta też okoliczność najlepiej nam wyjaśnia najnowszy prąd konserwatywno-szlachecki jaki się objawia w całej Europie, czego doświadczono i u nas przy ostatnich wyborach. Prawdziwi ludzie ze wsi, wzięli górę nad falsyfikatami miejskimi, nad postępowcami, czyli pozytywistami, czyli socjalistami, czyli wreszcie nihilistami... Jeden tylko Lwów nie mógł się wytrzeźwić obrawszy p. Hausnera, którego też dotknął bardzo słuszny zarzut Czasu, jako się znajduje *w złem towarzystwie.* Niech nam daruje szanowoy organ krakowski, że dotąd jakoś nie możemy się ucywilizować na obraz i podobieństwa jego — lecz to wina młodości naszej czującej krew żywą w sobie. Jak się zestarzejemy kiedyś, będziemy więcej stateczni — dziś chcemy jeszcze żyć pełną piersią.

W ubiegłym tygodniu opuściła nas młodzież gimnazjalna rozjechawszy się na wakacje; — ztąd coraz większe pustki na ulicach, coraz ciszej i płaczliwiej, bo deszcz kochany leje dzień po dniu jakby go kto najął. Świętojurcy powiadają, że to pan Bóg tak płacze nad ich niedolą i klęską przy wyborach, nad którą płaczą również wszystkie moskiewskie dzienniki widząc pożarcie pobratycznego ludu przez tych niegodziwych Lachów.

Wśród tego płaczu, doczekała się nawet uznania Strażnica, niewiadomo tylko która, powszednia czy Polska, bo *Nowoje wremia* cytuje z niej artykuł, noszący tendencję kompletnego wynarodowienia tej jednoplemiennej i jednowierczej z Moskalami ludności ruskiej w Galicji. Jakaż to szczególniejsza troskliwość o biednych Rusinów, którzy nie chcą zmoskalonych księży na posłów, lecz wolą Polaków?

A propos wyjazdu uczniów na wakacje, i odbyć się mającego walnego zebrania Towarzystwa pedagogicznego w Brodach, chcemy zaznajomić kogo wypada z projektem powstałym w Kongresówce, co do wprowadzenia nauki rzemiosł w szkołach ludowych. Rząd zapytał się korporacji miast: *a*) czy sobie życzą, aby zaprowadzono naukę niektórych rzemiosł, mianowicie jakich — *b*) czy dadzą na urządzenie warstatów jakie fundusze i *c*) w jakich godzinach nauki te mogą być wykładane? Miasto Kalisz pierwsze pospieszyło z odpowiedzią, że uważa bardzo pożytecznem wprowadzenie tej nowości do szkół ludowych, że przeznacza na ten cel 100 rs. rocznie, i wyraża przekonanie, iż najwłaściwszemi godzinami do wykładu byłyby zwyczajne godziny, w których się inne wykłady odbywają.

Jeżeli gdzie, to u nas w Galicji przykład Kalisza powinienby znaleść naśladowców. Rzemieślników mamy tak mało, że ci co są, nawet zwyczajnym potrzebom naszym wystarczyć nie mogą. Tymczasem trzecia część ludności małomiasteczkowej i wiejskiej podczas zimy literalnie nie ma zajęcia, a chociaż Wydział krajowy stara się o zaprowadzenie specjalnych szkół niektórych rzemiosł jak koszykarstwa, garncarstwa, rzeźbiarstwa — to szkoły te muszą mieć inne przeznaczenie, niż popularna nauka najpotrzebniejszych rzemiosł. Dzieci po takich wykładach szkolnych nie wyjdą wprawdzie na majstrów, jednak samo zaznajomienie się z użyciem narzędzi i pierwszych zasad rzemiosła, da im już możność radzenia sobie w każdym zawodzie i ocenienia roboty specjalnych rzemieślników. W miasteczkach południowej Rossji widzieliśmy takie warstaty w szkołach początkowych, które bardzo tanim kosztem się utrzymują, dlatego zapewnić możemy, że chłopcy z niezmierną ochotą garną się do takiej pracy, uważając ją za prawdziwą rozrywkę. Opłata jednego miejscowego majstra i najęcie jednej więcej stancji na warstat, stanowią cały wydatek takiej nauki, albowiem materjał użyty do roboty zakupuje się ze sprzedaży przedmiotów przez uczni wyrobionych. Nieraz między pracującemi malcami pokaże się prawdziwa zdolność do pewnego rzemiosła, co i dla niego i dla rodziców może być najlepszą wskazówką obrać się mającego zawodu. Wreszcie praca w warstacie takim, jest prawdziwą gimnastyką dla chłopca, rozwija jego siły fizyczne, przyzwyczaja do korzystnego zużytkowania potem wolnego czasu, śmiemy zatem zwrócić uwagę Rady szkolnej na tę okoliczność i polecić pedagodom naszym poparcie jej gdzie wypada.

Nareszcie Bank Austro-Węgierski zdecydował się przyjść z pomocą kredytem swoim kassom zaliczkowym w Galicji. Wiadomość ta sądzimy ucieszy wszystkich potrzebujących taniej pożyczki, albowiem kasy mając zapewniony kredyt na 4 procent, zniżą stopę procentową klientom swoim i otworzą szersze wrota dla osobistego kredytu, czem najskuteczniej przyczynią się do zwalczenia żydowskiej lichwy, a temsamem wprowadzą normalny rozwój interesów handlowych i przemysłowych. Bank zastrzega sobie pewną kontrolę działalności kas zaliczkowych, ale właśnie ta kontrola wyrobi w nich prawidłowy rozwój i nauczy rachowania się z własnemi siłami na drodze sumiennego i punktualnego spełniania zobowiązań.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Klasycyzm i pomieszanie zmysłów. Z Tyfisu piszą do „Gołosu“:

„Dworaństwo“ tyfliskie czyni starania u rządu o nadanie prawa kończącym kursa szkół realnych do słuchania kursów uniwersyteckich fakultetu fizykomatematycznego i lekarskiego. Dla nabycia tych praw obecnie należy się kształcić w gimnazjach klasycznych; a więc, w ciągu lat 8-iu, zdobyć 5 języków: dwa starożytne, dwa nowożytne europejskie i język rosyjski, a nadomiar tego, wszystkiego się uczyć podług programu gimnazjalnego, i wszystkiego się nauczyć w języku rosyjskim, tak trudnym dla innoplemieńców! Nic dziwnego przeto, że $1/4$-ej ilości ogólnej obłąkanych dostarcza szpitalowi tyfliskiemu gimnazjum klasyczne, jak o tem świadczy miejscowe towarzystwo lekarskie.

*** Niemcy, którzy od tak dawna zaprzeczają polskiej rodowitości Kopernika, teraz dopiero zajmują się przekładem nieśmiertelnego jego dzieła: „De revolutionibus orbium coelestium.“

Dzieło to tłomaczone przez p. Menzer p. t. „Ueber die Kreisbewegungen der Weltkörper“ wyjdzie z druku w Toruniu nakładem tamecznego towarzystwa Kopernikowego

*** Opuścił właśnie prasę zeszyt czwarty „Słownika biograficznego pisarzy współczesnych,“ wydawanego w języku włoskim we Florencji przez Angela de Gubernatis'a, pod tytułem: *„Dizionario biografico degli Scrittori contemporanei.“*

Zeszyt ten obejmuje nazwiska zaczynające się od Cav-Del.

Literaci nasi, jak od początku wydawnictwa tego, tak i w tym numerze są co do jednego wymienieni.

*** P. Filip Sulimierski wydał swoim nakładem „Wspomnienia z Londynu“ utalentowanego pisarza włoskiego Edmunda de Amicis, przełożone przez p. Marję Siemiradzką.

*** Nakładem redakcji *Przeglądu katolickiego* rozpoczęte zostało wydawnictwo „Historji powszechnej“ F. J. Holzwartha.

Opuścił już prasę tom pierwszy, który zawiera wiadomości wstępne o pojęciu dziejów, ich źródłach, o dziejopisarstwie przed Chrystusem i po Chrystusie, najdawniejsze podania o początku i pierwszych kolejach rodu ludzkiego, historję Chin, Asyrji, Babilonji, Chaldei, Egiptu, Fenicji, Judei, Persji i Indji.

Tom drugi, który obejmować będzie historję Grecji i Rzymu do narodzenia Chrystusa, wyjdzie z druku w końcu roku bieżącego.

Całość stanowi tomów sześć.

*** W Maines w dniach 24 do 27 sierpnia odbywać się będą posiedzenia siedmnastego holenderskiego kongresu literackiego.

*** Izby szwedzkie dla uczczenia pamięci sławnego botanika Linneusza uchwaliły nabycie posiadłości Hammarby, leżącej w bliskości miasta Upsal. W budżecie przeznaczono na ten cel 80.000 koron szwedzkich. Hammarby było dawniej własnością Linneusza, który tu napisał kilka swoich dzieł. Obecnie zamierzono tu urządzić muzeum, którem ma się zajmować rektor uniwersytetu upsalskiego.

*** W Nancy inauguracja posągu Thiersa odbędzie się 3 sierpnia. Uroczystości trwać będą cztery dni. Rada municypalna przeznaczyła na ten cel 40.000 fr.

*** Na cmentarzu Père Lachaise odsłonięto pomnik Bazin'a, b. członka akademji francuskiej; liczna publiczność obecną była tej uroczystości.

*** Paryzka rada gminna uchwaliła 5.000 fr. na wzniesienie pomnika Micheletowi, autorowi dzieła: „*Histoire de la France.*“

*** W Sceaux w listopadzie r. b. odbywać się będą uroczystości na cześć znanego bajkopisarza Florjana; równocześnie zbierze się też konkurs wszystkich djalektów południowych.

Prasa perjodyczna.

*** Stowarzyszenie prasy włoskiej upoważniło p. Arnese (z Uścikowa w W. Ks. Poznańskiem) do reprezentowania go na obchodzie jubileuszowym Kraszewskiego.

*** *Słowo* — pod tym tytułem wychodzić ma w Łodzi od nowego roku pismo polskie trzy razy tygodniowo.

*** W Paryżu p. Cuneo d'Ornano zamierza wydawać pismo codzienne *Napoleon*, poświęcone sprawie bonapartystowskiej.

*** W Paryżu ukazało się nowe pismo tygodniowe w języku angielskim p. t. *The Boulevard*.

*** Dziennik *Gaulois* przeszedł na własność pana Artura Meyesa, członka partji bonapartystycznej; odtąd będzie dziennik reprezentował interesa księcia Napoleona.

*** Turecki dziennik *Eljawaib* z rozkazu władzy zawieszony na sześć miesięcy; postanowienie to wywołane zostało odmową ze strony redakcji ogłoszenia dokumentów odnoszących się do spraw Egiptu, oraz nieprzyjaźnemi dla rządu tendencjami.

Teatr.

*** W Londynie w Royal Italian Opera przedstawiono operę Masseneta „Il re di Lahore“. Przedstawienie było bardzo staranne. Próbami kierował sam kompozytor. Dzieło zyskało przychylne przyjęcie.

*** Sarah Bernhardt przesłała zarządowi komedji francuskiej prośbę o dymisję.

*** P. Bolesław Ładnowski, tragik sceny lwowskiej, wyjechał do Warszawy na gościnne występy. Pierwszemi rolami pana L. będą: „Romeo“, „Otello“ i „Hamlet“.

*** W Toruniu w teatrze niemieckim przedstawiono z powodzeniem krotochwilę „Tajemnica“ St Dobrzańskiego, z polskiego przez p. Gneis przełożoną.

*** Laube, najznakomitszy dramaturg niemiecki, zamierza złożyć obowiązki dyrektora teatru miejskiego w Wiedniu.

*** Nowy dyrektor paryskiej wielkiej opery zapowiada na przyszły sezon następujące nowości: „Le tribut de Zamora“ (Guonoda) — „Francesca da Rimini“ (Thomasa) — „Fidelio“ Beethowena i „Armidę“ Glücka.

*** W paryskim teatrze Châtelêt wystawioną być ma wkrótce z nieznanym odtąd przepychem drama Adolfa Belot „Czarna Wenus“. Koszta scenerji są olbrzymie. Z dekoracyj ukończoną już jest Sahara i krajobraz o wschodzie słońca. Na scenie przesunie się między innemi karawana złożona z 600 osób, wielbłądów, żyraf i gazelli.

Szkoły.

*** Rektorem politechniki lwowskiej, został obrany profesor Ludwik Niedźwiedzki.

*** Rząd angielski czyniąc zadość usilnym staraniom, postanowił ufundować uniwersytet Wiktorji; uniwersytet ten byłby uorganizowany na wzór londyńskiego

*** Z urzędowego źródła dowiadujemy się, że w roku 1876 w okręgu naukowym warszawskim na ludność 3,030,277 mężczyzn i 3,195,354 kobiet, było szkół elementarnych 3184, tak, że 1 szkoła przypadała na 1955 osób ludności. W szkołach było uczących się chłopców 113,955, dziewcząt 55,175, razem 168,546, tak, że 1 uczeń przypadał na 27 osób i 1 uczennica na 58, przeciętnie zaś jedno dziecko uczące się bez różnicy płci wypadało na 37 osób. Ukończyło kurs 10,164 dzieci. Na utrzymanie szkół elementarnych w r. 1876 wydatkowano rs. 668,794, w tej liczbie ze skarbu państwa rs. 113,640, z funduszów magistratów rs. 51,854 i z funduszów gmin rs. 473,032. Przeciętnie wydatek na jedną szkołę wynosił rs. 240 na rok.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Bordeaux na cześć Blanqui'ego wydano bankiet. Wzięło w nim udział 1,300 osób. Blanqui wcale nie zabierał głosu.

*** W Bordeaux 22-go czerwca. Odbyło się zgromadzenie zwolenników wolnego handlu. Sala przepełniona. Izba handlowa i rada municypalna były obecne na zgromadzeniu. Mer miasta Bordeaux wytłómaczył zgromadzonym cel obrad, dowodząc potrzeby utrzymania traktatów zapewniających wolny handel. Zgromadzeni przyjęli rezolucję przedstawioną przez przewodniczącego.

*** W Londynie odbyło się zgromadzenie ogólne stowarzyszenia robotniczych klubów Raport, czytany przez Hadgsona Prattaf zaznacza wielki wzrost. Do głównego stowarzyszenia przystąpiło dotąd 83 klubów robotniczych.

*** W Weselu ofiarą lichwy stało się dwóch oficerów pruskich, którzy, nie mogąc wydostać się z rąk lichwiarzy, odebrali sobie życie; fakt ten zrobił smutne wrażenie.

*** W Pradze 27 czerwca popełnioną została dzika zbrodnia. Dwaj bracia, rzemieślnicy, uzbrojeni rewolwerami i nożami, napadli na dom fabrykanta galanteryj Koperta, u którego pracowała ich siostra i brat trzeci. Zamknąwszy drzwi za sobą, poczęli oni okrutnie mordować wszystkich domowników, nie ochraniając własnego brata i siostry. Zranili oni niebezpiecznie pięć osób. Siostra z ran umarła. Zbrodniarze ranili też pięć osób, które przybiegły z pomocą na krzyk napadniętych. Przeważna dopiero liczba policjantów opanowała szalonych zbrodniarzy.

*** W Wiedniu sąd najwyższy wydał w tych dniach w procesie o obrazę honoru ciekawy wyrok. Orzeka on, iż wyrazy „żyd polski“ (*polnischer Jude*) stanowią obrazę honoru. Wyrok ten uzasadniony jest twierdzeniem, iż w Austrji: „żydom polskim“ przypisują taki brak moralnych i szlachetnych przymiotów, że nazwa inkryminowana jest istotną obrazą. Cała prasa izraelicka motywowi temu przyklaskuje.

*** Do Anvers 24-go czerwca przybył z Rio-Janeiro okręt niemiecki „Kronprinz Frederich Wilhelm“. Na pokładzie okrętu znajduje się 538 mennonitów, wracających do kraju w ostatniej nędzy. Pasażerom nie pozwolono wylądować, lecz władze naradzają się nad sposobami dalszej podróży tych nieszczęśliwych.

*** W Paryżu policja przytrzymała kilku Anglików, którzy puszczali w obieg fałszywe banknoty. Falsyfikaty odznaczały się niezwykłem wykończeniem i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zostały poznane. Przytrzymani fałszerze są członkami wykrytej w Londynie bandy.

*** Na granicy belgijskiej odbył się pojedynek na pałasze między panami Leonem Chapronem, felietonistą *Evenement*'u i Alfredem Edwardsem. Leon Chapron raniony. Powodem pojedynku był artykuł Chaprona, pomieszczony w *Evenement*, a robiący uwagi niekorzystne dla p. Edwardsa z powodu głośnego jego zajścia z hr. Pusłowskim, który go na wyścigach spoliczkował.

*** W Szwerynie urząd policyjny rozesłał szynkarzom listę imienną 40 osób (pomiędzy temi dwie kobiety), zakazując sprzedawania tym osobom wódki pod karą pieniężną.

*** W Raciborzu magistrat wydał okólnik do restauratorów, używających w swych zakładach kobiet do obsługi, uwiadamiający ich, że odtąd winni zamykać swe zakłady punktualnie o dziesiątej wieczorem; skoro zaś zmienią służbę żeńską na męską udzielone im będzie pozwolenie otwierania zakładu do północy a nawet później.

*** Władze większych miast Stanów Zjednoczonych wprowadzają już w użycie ustawę o mieszkaniach. Ustawa wymaga 700 stóp kubicznych powietrza na dwie osoby. Właściciele domów nie stosujący się do przepisów są pociągani do odpowiedzialności sądowej.

*** Roboty około tunelu św. Gotarda tak energicznie są prowadzone, iż spodziewają się ukończenia w tym roku; po stronie Göschenen mają robotnicy przed sobą jeszcze tylko 649 metrów do środka tunelu, po stronie Airolo zaś 1281 metrów.

*** Z Szegedynu piszą, iż położenie nieszczęśliwego miasta mało się polepszyło. Woda jeszcze ciągle stoi o 14 centymetrów wyżej niż w rzece Cisie. Maszyny do pompowania, sprowadzone z Anglji wielkim kosztem, okazały się niewystarczającemi. O odbudowaniu się miasta nie może być dotąd mowy.

*** Osobliwsza wieś.

Według dziennika *Samogy*, znajduje się ona w komitacie samogyeńskim na Węgrzech.

Z mieszkańców tej wsi, która się nazywa Edde, od lat kilkudziesięciu, to jest od czasu jak pamięć ludzka sięga, ani jeden nie był karany więzieniem nawet za najmniejsze wykroczenie.

Karczmarze w Eddzie robili zawsze jak najgorsze interesa, jeden po drugim więc wynosił się co prędzej z szczęśliwej wioski, której mieszkańcy w ciągu kwartału razem nie wypijają więcej jak jedno wiadro wina.

Ci ostatni są to gospodarze pracowici i rządni, odznaczają się głęboką bogobojnością i nie szkodzą sobie nigdy wzajemnie.

Nie usłyszysz między nimi nigdy poswarku lub obelżywego słowa...

Wspomniony dziennik dodaje, że ten idealny stan wsi Edde jest w pierwszym rzędzie zasługą miejscowego nauczyciela, który od lat 38 przyświeca młodzieży i całej ludności nietylko nauką i radą, ale i przykładem.

Zjawiska przyrody.

*** Między wsiami Barcinem a Łabiszynem, w pow. Szubińskim, w W. Ks. Poznańskiem, pojawiła się tak zwana szarańcza piesza, mniej niebezpieczna niż skrzydlata, ale w każdym razie bardzo szkodliwa, posuwa się w kierunku Węgrowickiego.

*** W miasteczku Wilberferst w Ameryce piorun uderzył w budynek szkolny. Nauczyciel wykładający lekcję został zabity. Budynek zdołano uratować.

*** W Wenecji w tych dniach dało się uczuć dość silne wstrząśnienie. Zjawisko trwało dwie sekundy. Szkody nieznaczne.

*** Wskutek usunięcia się ziemi pod Mortic i Predas utworzyło się jezioro, mające 187 metrów w obwodzie; zjawisko to zagraża kilku gminom, a szkody dotąd spowodowane dobiegają już 100,000 guldenów.

*** W bliskości wyspy Wight złapano wieloryba ważącego 12 cetnarów; przesłano go do akwarjum w Bringhton

*** Dnia 25. czerwca w Tyrolu, w Torbole zerwała się szalona burza. Powstał nieopisany przestrach. Zniszczenia, poczynione już wprzód przez niepamiętny stan wody jeziora Garda, w polach i domach, dobiegły jeszcze większych rozmiarów. Nawet te miejsca, które dotychczas nie były jeszcze dosięgnięte wodą, obecnie zostały zalane i zniszczone. Szkody niezmierne.

*** *Times* podaje szczegóły strasznego orkanu, który w dniu 30 maja nawiedził wiele okolic Północnej Ameryki i występując miejscami jako trąba powietrzna zrządził niezmierne spustoszenia. Burza cyklonowa przeszła wieczór po nad wschodni Kansas i pozbawiła tam 50 ludzi życia, a 100 przyczyniła ciężkich uszkodzeń. Wiele ucierpiała miejscowość Marsched Counti, oraz pas kraju przy drodze żelaznej Spokojnego oceanu, 30 mil angielskich długi. W Irving 12 ludzi utraciło życie, 40 jest ciężko rannych. Prawie całe miasto zburzone. W innych miejscowościach, jak Delphos, Frankfot, Blne, Springs, Beloit i Fultonie było po kilkanaście osób zabitych. Most żelazny nad rzeką Blne poszarpany w kawałki. Cyklon przedstawiał się jako czarna lejkowata chmura, która wirując pędziła nisko nad ziemią z chyżeścią 60 do 100 mil angielskich na godzinę. Chmura ciągnęła pasem przeszło 2,000 stóp szerokości, niszcząc wszystko co na swej drodze napotkała.

*** Etna. Wybuchy Etny zapamiętane zostały już z bardzo odległej starożytności.

Tucydydes wspomina o erupcjach wulkanu tego w latach 480 lub 479 oraz 426 przed Chrystusem Panem.

O pierwszym z tych wybuchów wspomina także Pindar w swej pierwszej odzie pityjskiej, poświęconej królowi Hieronowi i nowo założonemu wówczas miastu *Aetna*.

O innych wybuchach, mianowicie w latach 133, 125 i 43 przed Chrystusem, opowiadają dziejopisowie rzymscy.

Ostatni z nich uważany był w Rzymie za zapowiedź bliskiego upadku i śmierci Cezara.

Dalej donosi historja o wybuchach Etny w latach 40, 258, 420 i 812 po Chrystusie.

Niezmiernie groźne były wybuchy w latach 1169 i 1329; ofiarą ich padło miasto Katanja.

Najstraszliwszy jednak był wybuch w r. 1669, podczas którego z 20,000 mieszkańców wymienionego dopiero miasta 17,000 postradało życie.

W bieżącem stuleciu znaczniejsze erupcje miały miejsce w latach 1809, 1811, 1819, 1832 i 1853 mniejsze zaś w latach 1863 i 1865.

Tym razem, jak się zdaje, niebezpieczeństwo dla okolic wulkanu już minęło, a ludność powraca do opuszczonych osad na stokach góry wulkanicznej ponieważ właśnie nastaje pora żniw.

Według korespondenta *Schles. Ztng*, który był naocznym świadkiem ostatniego wybuchu, Etna pokryta jest obecnie 600 do 700 stożkami erupcyjnemi, pomiędzy któremi jest większych do 60.

Strumień lawy tym razem miał kilkaset metrów szerokości, nie licząc kilku odnóg.

Głębokość jego wynosiła miejscami 20 do 30 metrów.

*** Wąż dwugłowy.

Znaleziono go, jak donosi niejaki Semler z San Francisco do pisma *Die Natur*, na drodze kolejowej, prowadzącej z San José de Santa Cruz.

Wąż ten należy do niejadowitych i żywi się myszami, ptactwem drobnem i t. p.

Po łacinie zwie się *Piticophis Wilksei*.

Wąż schwytany liczy najwięcej dwa do trzech miesięcy i ma długości 22 cali.

Obie głowy są umieszczone osobno na dwóch gałęziach szyi, każda głowa jest prawidłowo rozwinięta, ma dwoje dużych oczu.

Obie paszcze w jedno schodzą się gardło.

Wąż jeść może oboma, gdyż w obu zarówno wykształcone i silne ma uzębienie.

Często rozprzestrzenia potwór jak najszerzej obie głowy, a często kładzie jednę na drugą, lub też blisko obok siebie.

Komunikacje.

*** Kaukaz ma otrzymać kilka dróg żelaznych mających przeznaczenie nie tylko handlowe lecz i strategiczne. Jedna z tych dróg przeprowadzoną będzie od Władykaukazu do Karsu i granicy Perskiej, druga od Poti (portu morza Czarnego) do Baku nad morzem Kaspijskiem. Pierwsza zatem z tych linii przetnie Kaukaz z północy na południe, druga łącząc dwa morza pójdzie w kierunku zachodnio-wschodnim. Od dwóch tych głównych arterji rozchodzić się ma kilka linii drugorzędnych, których budowa jednak dopiero po ukończeniu wymienionych dwóch dróg ma się rozpocząć.

PROCES MORMONÓW.

Mormonami zaprzątać się znów poczyna prasa europejska.

Oto nowe ich wielożeństwo stanęło przed kratkami sądowemi.

Miles, głowa i misjonarz „świętych“, został świeżo oskarzonym przed trybunałem „Miasta słonego jeziora“ o bigamję i musi teraz, jako męczennik swojej wiary, odsiedzieć kilkoletnie więzienie.

Wrażenie procesu było w całem terytorjum stanu ogromne.

Gdy kapitan Wells za to, iż powołany na świadka, nie chciał wyjaśnić trybunałowi misterji mormońskiego ceremonjału ślubnego i z tego powodu, za lekceważenie powagi sądowej, skazanym został na karę dwudniowego więzienia i zapłacenie 100 dolarów, John Taylor, obecny naczelnik sekty, zwołał do Solnego miasta wszystkich wiernych na wspólną naradę.

Władze związkowe obawiały się buntu — załoga sąsiedniego portu Camp Douglas stanęła w pogotowiu wojennem..

W dniu wypuszczenia Johna Wellsa na wolność urządzono istotnie na ulicach Salt Lake city olbrzymią demonstrację...

Procesja, złożona z więcej niż 10 000 Mormonów, którzy z najdalszych okolic Utah napłynęli na ten dzień do stolicy, powitała udręczonego księdza u progów więzienia i wiodła go w tryumfie przez miasto; udała się nareszcie ta sfanatyzowana tłuszcza do Tabernaculum i przepełniła od góry do dołu olbrzymią mieśscowość.

Przemówienie jednakże „kapłana“ Taylore do tłumów tchnęło mądrem umiarkowaniem, jakkolwiek trzymało się nieugięcie artykułu, który „świętym dnia dzisiejszego“ przekazuje obowiązek wielożeństwa.

Dzisiaj, gdy Mormoni przekonali się, że oddalenie ich siedzib od centrum władzy związkowej nie chroni ich od prześladowań tejże, całem jest ich dążeniem, aby co prędzej zostali wcieleni do związku państwowego Unji, liczą bowiem, że w takim razie uzyskaliby prawo wyboru własnych urzędników.

Wypadek z Milesem miał się, jak następuje:

John Miles w czasie jednej z podróży missyjnych do Londynu zaręczył się z Miss Carrie Oven, jakkolwiek miał już w domu dwie narzeczone: Emilję i Julję Spenzer.

Miss Oven, którą John nawrócił na swoje wyznanie, podążyła za nim przez Atlantyk do Utah, pod warunkiem wszakże, iż w każdym razie zostanie małżonką nr. 1.

Pochopny John przyrzekł jej nawet, że z poślubienia Emilji i Julji nic nie będzie...

Po przybyciu jednakże do Atah Miss Oven doznała rozczarowania; dowiedziała się bowiem zaraz, że narzeczony jej równocześnie z przygotowaniami do jej ślubu, zabiera się do związku małżeńskiego z Emilją Spenzer, i że ta ostatnia, jako o parę lat od niej starsza, wedle zasad mormońskich, ma prawo zostać „numerem pierwszym.“

Wszelkie płacze, spazmy i groźby nie zmiękczyły bałamutnego Johna do porzucenia tej przeniewierczej myśli.

I stało się fatalnym zbiegiem wypadków, że do Endowment House, kędy odbywają się zaślubiny mormonów, równocześnie wstąpiły obie narzeczone; tutaj za chwilę niestety wyjaśniło się pięknej córze Europy, że Emilja jest już prawowitą kłamliwego Johna małżonką; świadectwem tego biała otwarta suknia, z jedwabną kształtem siedmiu liści figowych skrojoną przepaską....

O ceremonjach, które tu nastąpiły, świadkowie nie chcieli wyrzec słowa przed trybunałem, związani uroczystą przysięgą...

Sceny zaś, które po południu odgrywały się w gospodzie, obranej na miejsce wesela, były prawdziwie wzruszające...

Ponieważ Emilja Spenzer, jako pani Miles nr 1, pojawiła się także na zabawie weselnej pani Oven-Miles (nr 2), ta ostatnia potraktowała ją policzkiem, a gdy pomimo tego nieco skandalicznego zetknięcia się dwóch kobietek, John Miles nie wahał się tańczyć z Emilją, oburzona Misstres Oven opuściła salę...

Wreszcie jednak uspokoiło się jej serce przepełnione miłością dla krewkiego Johna, i pozwoliła mu po wyjściu od Emilji zajrzeć także do buduaru nr. 2.

Nazajutrz jednak uciekła, ogłosiwszy równocześnie światu w jednej z gazet „pogańskich“, wychodzących w Salt Lake City, krzywdę, jakiej doznała.

Przyjaciele skłonili ją do wniesienia skargi sądowej — ale nagle zniknęła z miasta...

Układny Miles to zwabił ją do kolonji, odległej o sto mil od stolicy, pogodził się tu ze zbuntowaną połowicą i skłonił do odwołania „pamfletu“ w gazetach mormońskich.

Ale era pokoju była krótkotrwałą.

Pani Miles nr 1 domagała się coraz niecierpliwiej praw swoich, Carrie więc opuściła znowu Johna i pozwała go przed trybunał o dwużeństwo.

Właśnie co dopiero odbył się proces, w którym powoływano na świadectwo najwyższych dygnitarzy świętego hufca.

Wszyscy twierdzili, że o podwójnem małżeństwie Milesa nic nie wiedziel, że fakt zaślubienia Emilji Spenzer nie jest im znanym.

W ten sposób można było utrzymać skargę ze strony państwa tylko za pomocą dowodów pośrednich, okolicznościowych (circumstantial evidence), potwierdzonych zeznaniami Carrie Oven...

Ponieważ ława sądowa nie składała się z mormonów, po krótkiej naradzie wydano wyrok winy...

Gdyby we wszystkich podobnych wypadkach postąpiono według tej metody, mormonizm niebawem zniknął z kuli ziemskiej...

Treść Nr. 25. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.